W NUMERZE: U kobiet — naukowców ● Pamiętnik nauczyciela ● Władysław Podstawka zginął w Oświęcimiu ● Profile ● Ponidzie ● W XX rocznicę ZMW ● I in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

LUBLIN
15.III.1963
Nr 5 (267)
ROK XXX
CENA 2 ZŁ

URBANISTYKA i ARCHITEKTURA (1)

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

LUBLIN, miasto o bogatych tradycjach architektonicznych może najpełniej utrwalonych w zabytkowych budowlach Starego Miasta, w gotyckiej sylwecie kościoła OO Dominikanów i w barokowym masywie katedry, ten Lublin stał się obecnie intensywnie rozwijającym się organizmem miejskim, kształtowanym na podstawie osiągnięć współczesnej architektury i nowych koncepcji urbanistycznych uwzględniających lokalne i ogólnopaństwowe możliwości ekonomiczne.

Rozwój ten, nie zawsze harmonijny i zgodny z planowanymi założeniami, jest tym bardziej interesujący, że odbywa się w warunkach dostosowania nowych rozwiązań architektoniczno-urbanistycznych do wspomnianej zabudowy zabytkowej, ważnej pod względem historycznym i artystycznym, że projektanci muszą brać pod uwagę konieczność związania tych zespołów z nowymi dzielnicami oraz dążyć do umiejętnej adaptacji historycznych wnętrz do wymagań socjalno-bytowych współczesnego człowieka, nie zapominając zarazem o zachowaniu ich zabytkowego charakteru.

Innym zagadnieniem, w zasadzie naczelnym, jest problem zapewnienia wygodnych i higienicznych mieszkań wszystkim obywatelom miasta.

W 1900 r. Lublin zamieszkiwało 50 tysięcy ludzi, a w r. 1944 liczba ta zwiększyła się do 104,8 tysięcy; dane z roku ubiegłego (195,2 tysięcy) wskazują na prawie stutysięczny wzrost liczby mieszkańców, wzrost którego źródła leżą we wzmożonej migracji ludności wiejskiej w latach 1944—1960.

Niedawno prasa lubelska doniosła o urodzeniu się 200-tysięcznego obywatela miasta.

Zatwierdzony w 1959 r. perspektywiczny plan rozbudowy Lublina zakłada zwiększenie liczby mieszkańców do 350 tysięcy w r. 1980. Podstawą zatwierdzenia planu był i jest katastrofalny stan mieszkaniowy miasta. Chcąc rozwiązać ten problem należy zbudować w najbliższym osiemnastoleciu ponad 200 tysięcy izb. Stąd też wywodzi się priorytet realizacji budownictwa mieszkaniowego w stosunku do innych inwestycji miejskich. Biorąc to pod uwagę, przestaniemy się dziwić, że Filharmonia nie posiada własnego budynku, że nowy Teatr Dramatyczny, którego budowa wyniesie około 70 mln zł, będzie zbudowany w dalekiej przyszłości — przestaniemy narzekać, gdy postawimy się w położeniu ludności zamieszkującej sutereny i poddasza, które to

(Dokończenie na str. 11)

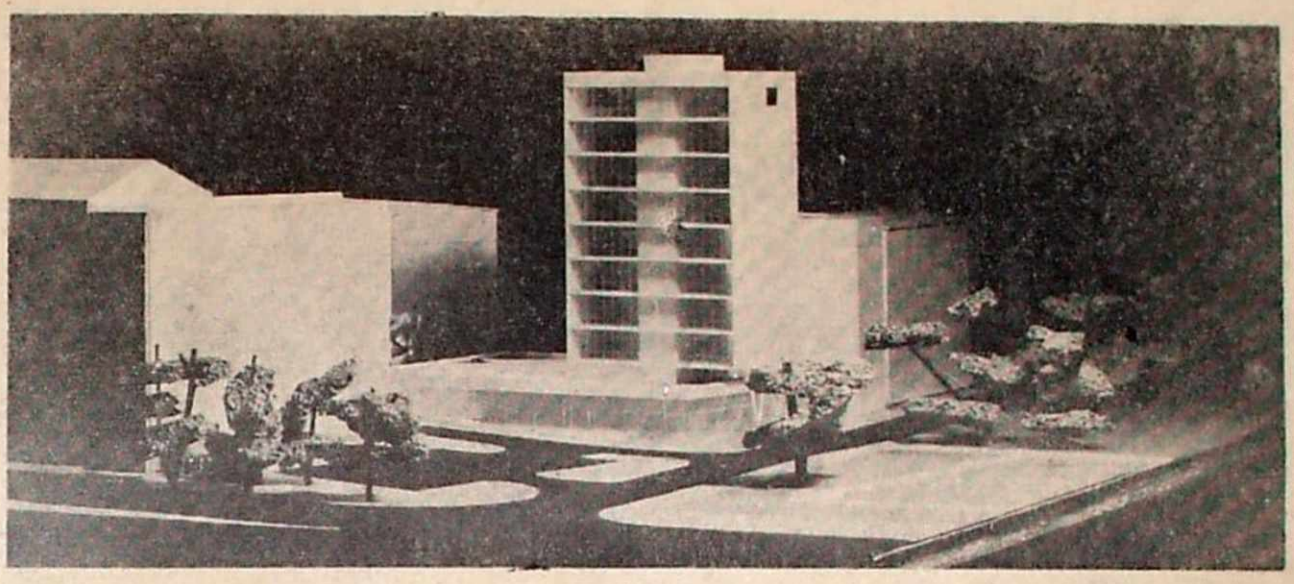

BUDYNEK 7-PIĘTROWY BIUROWO-USŁUGOWY CSO W LUBLINIE. MAKIETA WG PROJEKTU INŻ. ARCH. TADEUSZA MYCKA.

WIEJSKIE WSZECHNICE

ZYGMUNT PIKULSKI

Są jeszcze we wschodniej połaci kraju prawdziwie zapadłe kąty, nie posiadające żadnej placówki kulturalnej, odcięte od większych centrów błotnistymi drogami i bezdrożami. Ale nawet tam ludzie nie chcą już spędzać zimowych wieczorów na darciu pierza i słuchaniu opowieści o duchach i upiorach. I nie czarownica latająca na miotle, lecz loty kosmiczne są przedmiotem ich zainteresowań.

Cóż, kiedy nie zawsze łatwo jest zaspokoić te zainteresowania. Liczba bibliotek, świetlic, domów kultury jest imponująca, ale tylko w porównaniu z cyframi sprzed wojny. W stosunku zaś do potrzeb dnia dzisiejszego — niestety, raczej skromna. Nie ma środków finansowych na tak szeroką ofensywę kulturalną, która dotarłaby do każdego zakątka i zaspokoiła rozbudzone potrzeby wsi. Ba, nawet kino objazdowe grzęźnie w błocie podczas jesiennych słot.

Przykładem bardzo skutecznej uzupełniającej działalności kulturalnej są uniwersytety powszechne, znakomicie przystosowane do operowania w najbardziej zabitych deskami dziurach. I nie jest chyba przypadkiem, że najwięcej tych placówek powstało właśnie w województwie lubelskim. W ubiegłym sezonie oświatowym 1961/62 Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej zamierzał zorganizować ich 90, ale czynnych było aż 170 uniwersytetów. Przyjeżdżały delegacje z terenu, molestowały, więc choć nie było dodatkowych funduszów, trzeba było jakoś „sztukować", aby nie odprawiać ludzi z kwitkiem. Ta sama historia powtórzyła się w bieżącym sezonie. W planie było 200 uniwersytetów, a zorganizowano już do tej pory 241.

Działacze TWP nie „ułatwiają sobie życia" — wprost przeciwnie — celowo je sobie utrudniają, starając się zakładać uniwersytety powszechne przede wszystkim w tych miejscowościach, gdzie prawie nikt nie dociera z oświatą. Tylko do ok. 40 z nich można dojechać koleją, do innych zaś trzeba tłuc się autobusami PKS lub samochodami SKW, zwanymi popularnie „stonkami". Prawie zawsze od przystanku trzeba jeszcze przejść parę kilometrów piechotą. Po skończonym odczycie przeważnie nie ma możności powrotu do domu w tym samym dniu i trzeba na wsi nocować.

Zdarzało się już niekiedy podczas wiosennych roztopów, że prelegent musiał od przystanku kolejowego do odległej o parę kilometrów wsi jechać wierzchem na koniu, którego mu przywiedli słuchacze. A ów prelegent — to nie jakiś wiejski Judym, lecz często wykładowca wyższej uczelni, przyzwyczajony raczej do zagranicznych wojaży.

W takich warunkach działa na Lubelszczyźnie ponad 1400 prelegentów, z tego ok. 70% ma pełne wyższe wykształcenie. Nie zabrakło również wykładowców z lubelskich uczelni, np. prof. dr Tabin z WSR, dr Mańkowski z UMCS, dr Ziarkiewicz z WSR i inni.

Często właśnie słuchacze wiejscy dopominają się o prelekcje wybitnych naukowców. Ale co skłania wykładowców wyższych uczelni, lekarzy, prawników i in. do podejmowania tej pracy? Ktoś mógłby ich posądzać o „chałturzenie". Lecz doprawdy nader skromne honorarium absolutnie nie równoważy wysiłku, jaki wkładają prelegenci w swą pracę. Zresztą niektórzy z nich działają całkowicie społecznie, nie biorąc ani grosza. Piękny przykład dała inteligencja powiatu

(Dokończenie na str. 2)

NIE SAMYM CHLEBEM

HANNA MUSZYŃSKA-HOFFMANOWA

ADWOKAT spóźniał się, ale przycupnięte na ławkach kobiety nie wykazują żadnych odznak zniecierpliwienia. Nie uchodzi zresztą, przecież ta Poradnia Prawno-Społeczna przy Zarządzie Miejskim Ligi Kobiet, to ostatnia ich szansa. Nie trafiły do niej tu łatwo. Wszystkie pięć — ta najmłodsza trzydziestoletnia i ta najstarsza, siedemdziesięcioośmioletnia — wywodziły się ze środowisk, gdzie prawo i kodeks prawny jest pojęciem nieznanym, a jedynym panaceum na komplikacje życiowe rada sąsiadki „Weź pani wałek i pobij tę małpę, zaraz odczepi się od paninego męża". Później okazywało się, że z wałkiem bywa różnie, a choć „kuma" życzliwa i swojska, jednak mecenas z Poradni Ligi Kobiet zna się lepiej na rzeczy. No tak, człowiek uczony, w mig pozew o alimenty czy o ustalenie ojcostwa napisze i grosza nawet za to nie weźmie. Ten ostatni fakt klientki Poradni szczególnie sobie cenią. Większość z nich nie pracuje, a jeśli nawet która posiada jakiś grosz — to, wiadomo dzieci, obowiązki. Jedna z babć, siwiutka z głową obwiązaną czarną wełnianą chustką, takimi słowy wyraża swoje uznanie dla pracy adwokata:

— Biedaka! Naużera się w sądzie od samego ranka, nastrzępi języka, a po południu ganiaj do Poradni... I jak powiada kierowniczka Poradni — tylko za jedno „Bóg zapłać", czyli w pracy społecznej.

Siedząca obok kobieta, tak plus minus pod pięćdziesiątkę, była widocznie częstym klientem Poradni, bo zamiast

(Dokończenie na str. 7)

WIEJSKIE WSZECHNICE

(Dokończenie ze str. 1)

janowskiego, powiatu nie posiadającego ani 1 kilometra kolei żelaznej. Lekarze, nauczyciele szkół średnich i prawnicy z Janowa docierali z prelekcjami do miejscowowości odległych od najbliższej stacji kolejowej 20—30 km.

Ludzie ci ogarnięci są prawdziwą pasją społecznego działania. Słowa te na skutek nadużywania ich zdewaluowały się, ale samo zjawisko jest wciąż żywe. Być może społecznikostwo nie jest już potrzebne tam, gdzie wszystko zostało nowocześnie urządzone i dobrze funkcjonuje, ale na Lubelszczyźnie wciąż stanowi bardzo istotny moment działalności kulturalnej i ZW TWP umie to wykorzystać.

Prowadzone przez TWP uniwersytety skupiają już na Lubelszczyźnie ok. 10 tysięcy osób, a jeśli dodać do tego „wolnych słuchaczy", którzy formalnie się nie zapisali, lecz na co ciekawsze wykłady przychodzą, liczba ta znacznie przekroczy 15 tysięcy. Przeciętna frekwencja na wykładach wynosi ok. 50 słuchaczy, ale niekiedy dochodzi do 200 i jeśli świetlica wiejska czy izba szkolna jest ciasna, ludzie nie mogą się pomieścić i stoją za progiem, wyciągając szyję i pilnie łowiąc każde słowo prelegenta.

Oczywiście nie zawsze tak bywa. Zdarzają się wsie o atmosferze zastarzałej nieufności, czy wręcz wrogości w stosunku do wszelkich akcji, odczytów itp. Pewnego razu sekretarzowi ZW TWP mgr Janowi Drążkowi, gdy jechał organizować uniwersytet w jednej ze wsi powiatu janowskiego, milicja zaproponowała „obstawę", co nie było tak bardzo znów bezsensowne, gdyż kilkanaście dni wcześniej w tej wsi porżnięto nożami wszystkie opony w samochodzie kina objazdowego, a to dlatego, że film się nie podobał. Trudno pochwalić taką ostrą (dosłownie) krytykę, ale pewnie to była jakaś „chała".

Magister Drążek zrezygnował z „obstawy" nie tylko dlatego, że jest energicznym człowiekiem, ale i dlatego, że wierzył w metodę, jaką stosuje TWP krzewiąc na wsi oświatę. Przede wszystkim nic się tu nikomu nie narzuca. Słuchacze sami wybierają tematykę wykładów i ustalają godziny zajęć. No i nie wolno tym dorosłym chłopom pod wąsem podawać wiedzy na zasadzie „sztuka dla sztuki". Musi ona być powiązana z ich życiem. A więc np. naukę języka polskiego zaczyna się od tego, że słuchacze próbują redagować jakieś pismo urzędowe, albo piszą list miłosny. Zaś matematykę poznają przy obliczaniu powierzchni pola, objętości sterty drzewa itp. Ów praktycyzm posuwany bywa nieraz do tego stopnia, że na wykłady z medycyny i higieny przyprowadzają prelegentowi chorych ze wsi. Prawnik znowuż objaśnia co zawilsze kwestie prawne na konkretnych przykładach, jakich mu dostarczają rolnicy z własnego życia. Mało tego — nieraz przyjeżdżają do Lublina, aby się poradzić swego wykładowcy w jakichś niecierpiących zwłoki sprawach.

Prawie zawsze po wykładach dyskusja przeciąga się do późnego wieczora. Słuchacze po prostu nie chcą puścić prelegenta, a gdy już go żegnają, odprowadziwszy do przystanku PKS, pilnie dopytują się, kiedy znów przyjedzie.

Między działaczem TWP a jakąś wsią, gdzie istnieje uniwersytet powszechny, nawiązuje się bardzo często kontakt niezwykle serdeczny, daleko wybiegający poza ramy działalności oświatowej. Tak np. dla mieszkańców Józefowa stał się kimś bardzo bliskim prelegent TWP Mieczysław Domański. Prowadził on wykłady z uprawy roślin, a robił to w taki sposób, że potrafił wzbudzić u rolników prawdziwą pasję zawodową. I nie dość na tym, że nauczył ich, jak stosować różne odmiany zbóż i ziemniaków, jeszcze pomógł im w nabyciu nasion kwalifikowanych i nawozów sztucznych. Przyjeżdżał do Józefowa nawet wtedy, gdy nie miał w programie żadnego wykładu. Po prostu interesował się sprawami tej wsi.

Zdarza się, że poznawanie naszej tysiącletniej historii — rozpoczęte na uniwersytecie powszechnym od pogawędki na temat dziejów ich wsi i okolicy — pobudza ambicję słuchaczy, by zbudować u siebie czynem społecznym szkołę Tysiąclecia, świetlicę, odcinek drogi do szosy...

Jeżeli chodzi o tematy prelekcji, to największym zainteresowaniem słuchaczy cieszy się medycyna i higiena, rolnictwo i prawo. Co do techniki, to postanowiono w najbliższej przyszłości zwrócić na ten przedmiot szczególną uwagę. Zainteresowanie słuchaczy gwarantowane. Niestety, nie wszędzie będzie to możliwe, po prostu ze względu na zbyt małą liczbę inżynierów w naszym województwie. Trzeba jednak zrobić wszystko, aby wykorzystać każdego z nich, pamiętając, że właśnie technika przyciągnie przede wszystkim młodzież. A jak dotychczas młodzież — licząc nawet do lat 30 — stanowi tylko ok. 20 procent słuchaczy. Chociaż coraz częściej zdarza się, dzięki współpracy TWP z ZMW, że uniwersytety powszechne podbijają młodzież. Np. w Strzyżewicach w powiecie bychawskim placówka ta skupia młodych chłopców i dziewczęta z czterech sąsiednich wsi. Podobnie w Łucce (powiat lubartowski), którą tak niedawno jeszcze opisywało się w „czarnym" reportażu, pokazującym ciemnotę i krwawe spory o miedzę. Sądzę, że powinno się przy tym korzystać z nowych, bardziej żywych form pracy oświatowej, takich, które by pociągały młodych ludzi. A więc ćwiczenia i zajęcia praktyczne, pokazy filmowe, wycieczki do teatrów, instytutów naukowych... Na pewno korzystne byłoby połączenie oświaty z rozrywką, np. urządzanie wieczorów gier i zabaw, spotkania sąsiedzkie młodzieży z kilku wsi, wyrabianie umiejętności współżycia.

Argumentem przemawiającym za rozwojem tej formy oświaty, jaką są uniwersytety powszechne TWP, jest nie tylko ich — by tak rzec — iście partyzancka operatywność, pozwalająca im dotrzeć ze światłem wiedzy do najbardziej mrocznych zakątków, ale również ich niezwykła taniość. Za innego rodzaju odczyty, pogadanki, prelekcje itp. trzeba na ogół płacić dość słono i przy tym nie zawsze ma się pewność, że nie trafią one w próżnię, że będzie odpowiednio duża frekwencja. A na uniwersytecie powszechnym musi być zapisanych na stałe co najmniej 35 słuchaczy.

Zapotrzebowanie wsi na tę formę oświaty na pewno będzie jeszcze wzrastać. Tymczasem w najbliższej przyszłości dotacje państwowe raczej nie wzrosną i nawet trudno byłoby to postulować. Trzeba natomiast, aby uniwersytetami powszechnymi bardziej zainteresowały się rady narodowe, spółdzielczość wiejska, a także zakłady pracy. Są przykłady świadczące, że łączność miasta ze wsią jest czymś więcej, niż sloganem. Oto Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie ma patronat nad wsią Samokleski w powiecie lubartowskim i w związku z tym pomaga tamtejszemu uniwersytetowi. Już nie chodzi o to, że wołacia 2,5 tysiąca zł na ten cel, ale cieszy to, że przedstawiciele rady zakładowej wizytują tę placówkę, organizują słuchaczom wycieczki, interesują się jej pracą i rozwojem. Podobnie robi Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Mieszkaniowego we wsi Tarło, a PKS w Trzcińcu.

Lecz najwięcej miałaby tu do zrobienia spółdzielczość wiejska, począwszy od GS, a kończąc na spółdzielniach ogrodniczych czy mleczarskich. Każda z nich ma przecież statutowy obowiązek prowadzenia na swym terenie działalności oświatowej. Ale rozmaicie z tym bywa: często wydatkuje się pieniądze bez poważniejszych efektów, np. na kupno instrumentów, na których później nikt nie gra. Niekiedy w rubryce „wydatki na oświatę i kulturę" zaksięgowuje się sumki, które poszły na zakrapiane przyjęcie w związku z jakimś „przecięciem wstęgi"...

Tymczasem chociażby tylko z handlowego punktu widzenia spółdzielczość powinna wesprzeć finansowo TWP, które wychodzi z koncepcją, aby szkolenie ogólne łączyć ze szkoleniem fachowym właśnie takim, jakie byłoby po myśli danej spółdzielni. Tak np. Zarząd Wojewódzki TWP chce zorganizować we wsiach wokół Lublina sieć uniwersytetów powszechnych, które miałyby wykłady i ćwiczenia z zakresu ogrodnictwa. Cóż z tego, jeśli spółdzielczość ogrodnicza nie kwapi się skorzystać z tej inicjatywy, choć powinno jej zależeć na fachowym szkoleniu swych plantatorów.

TWP widzi również potrzebę założenia sieci uniwersytetów z przewagą wykładów z chemii i techniki wokół budującego się kombinatu azotowego w Puławach, następnie w powiecie hrubieszowskim wokół budującej się cukrowni w Werbkowicach... Plany i zamierzenia są bardzo rozległe. Chodzi jednak o to, że nasze wiejskie wszechnice mają jeszcze zbyt mało przyjaciół i opiekunów w różnych władzach, że zbyt wiele organizacji, zwłaszcza działających na wsi, nie chce, czy nie umie nawiązać z nimi współpracy. Szkoda jest nie tylko obopólna: najwięcej traci ten trzeci — wieś. I dlatego trzeba robić wszystko, aby ten stan rzeczy możliwie najszybciej zmienić.

Zygmunt Pikulski

W KRASNOSTAWSKIM MUZEUM

MIECZYSŁAW KURZĄTKOWSKI

ZMIANA wystawy kieruje znów uwagę ku Muzeum w Krasnymstawie, choć nie tak dawno „Kamena" poświęciła mu specjalny artykuł (Z. Uchnast: „Sit salus intranti", „Kamena" 1962 nr 18). Zwalnia on od omawiania obecnie zasobów tej placówki i warunków jej działalności a pozwala zająć się samą wystawą.

Materiał posiadany przez Muzeum podany został w wyborze uwarunkowanym możliwościami ekspozycyjnymi i dydaktycznym charakterem pokazu. Trzy sale, którymi dysponuje obecnie Krasnystaw, podzieliły między sobą działy archeologii, historii i kultury ludowej. Sprzęt wystawowy jest estetyczny i dyskretny, służący jak najlepszemu udostępnieniu muzealiów zwiedzającym.

W sposób najciekawszy zaaranżowana została ekspozycja etnograficzna. Obok licznych zabytków kultury materialnej zwracz uwagę wnętrze izby chłopskiej urządzone w części sali oraz strój ludowy pokazany w sposób nieszablonowy, upięty na ekranie w układzie naśladującym człowieka w ruchu. Szopka z Zulina, pochodząca z ostatnich lat, zaskakuje tradycjonalnością figurek. Żyd — kupiec i karczmarz, to postaci od wielu już lat na wsi nieznane, a lekarz „kusy Węgier" sięga chyba jeszcze czasów rozbiorów.

Dział archeologii otwiera rekonstrukcja grobu skrzynkowego kultury amfor kulistych przeniesionego ze wsi Łopiennik Dolny. Zabytek ten, to chyba najciekawsza pozycja krasnostawskich wystaw.

Dział historyczny jest niestety, uboższy od pozostałych w eksponaty oryginalne; z konieczności zostały one zastąpione przez fotokopie i reprodukcje.

W części wystawy dotyczącej czasów przedrozbiorowych zdecydowano się na pokazanie niemal wyłącznie spraw miasta Krasnegostawu przez fotokopie aktów erekcyjnych miasta i kościoła, lustracji miasta, fragmentu inwentarza i widoków zamku starościńskiego. Należy żałować, że zabrakło miejsca na zobrazowanie Krasnegostawu jako stolicy rozległego niegdyś starostwa w ramach Ziemi Chełmskiej, obejmującego swym zasięgiem również dzisiejszy powiat zamojski, czy też na wydobycie ożywionego w XVI w. na tym terenie ruchu reformacyjnego, z którym wiążą się Bończa, Fajslawice, Krupe, Wysokie i wiele innych miejscowości oraz nazwiska Pawła Orzechowskiego, Krzysztofa Lubienieckiego, Walentego Szmalca...

Najobszerniej w dziale historycznym potraktowane zostało powstanie styczniowe i w ten sposób godnie uczczono jego setną rocznicę. Tu wystawę ożywiają ciekawe oryginalne dokumenty i muzealia. Lata międzywojenne oraz okupacja i wyzwolenie otrzymały po jednej gablocie.

Osobny rozdział ekspozycji stanowią tradycje kulturalne powiatu krasnostawskiego, które jak piękna klamra spinają postaci Szymona Szymonowica i Stanisława Bojarczuka.

Po Chełmie i Zamościu Krasnystaw otrzymał własną placówkę muzealną w

(Dokończenie na str. 11)

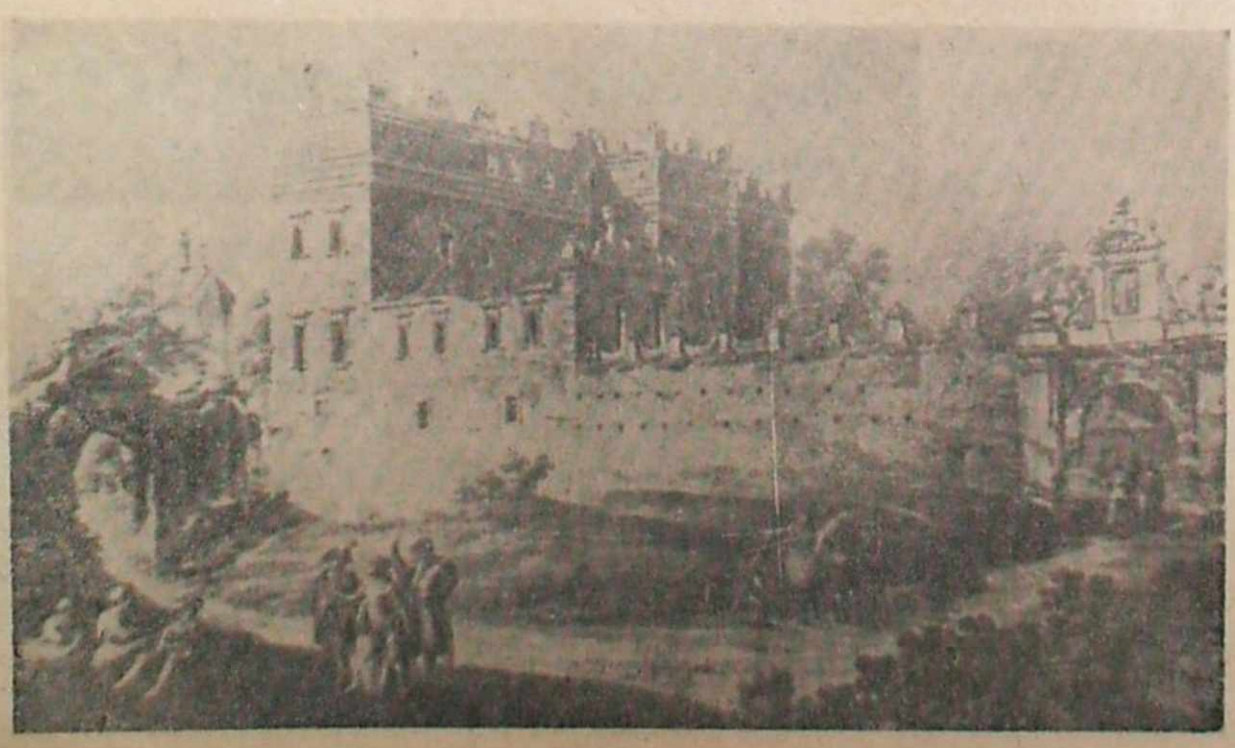

Zamek w Krasnymstawie w końcu XVIII w. — wg Zygmunta Vogla.

OBCHODY ROCZNICY POWSTANIA STYCZNIOWEGO

STANISŁAW KOZŁOWSKI

Wojewódzki Komitet Obchodu 100 rocznicy powstania styczniowego w Lublinie przygotował już w swoich sekcjach problemowych plan imprez i uroczystości w roku bieżącym na Lubelszczyźnie. Niektóre z nich odbyły się w ubiegłych tygodniach. Z okazji 100 rocznicy wybuchu powstania, w dniu 21 stycznia br. odbyły się uroczystości inaugurujące obchody na Lubelszczyźnie. Na program uroczystości złożyły się referaty prof. dr Juliusza Willzme „O międzynarodowej sytuacji powstania", prof. dr Tadeusza Mencla „O przebiegu powstania na Lubelszczyźnie" oraz występy Chóru „Echo" z programem piosenek powstańczych i aktorów scen lubelskich z recytacjami.

W dniu następnym, 22 stycznia br. w sali BWA w Lublinie została otwarta wielka wystawa poświęcona okresowi 1862—64, a przygotowana przez Bibliotekę Główną UMCS i Wojewódzkie Archiwum Państwowe.

Wydany został przez Wydział Kultury PWRN i Polskie Towarzystwo Historyczne zbiorek pamiętników przywódców powstania styczniowego na Lubelszczyźnie (Rogińskiego, Liniewskiego, Gregorowicza, Anca i innych).

Na jesieni br. w Lublinie zostanie zorganizowana przez UMCS sesja naukowa poświęcona roli Lubelszczyzny w powstaniu styczniowym. Zostaną także opublikowane materiały z tej sesji. Ponadto Polskie Towarzystwo Historyczne wyda specjalny numer „Rocznika Lubelskiego" poświęcony rocznicy powstania styczniowego.

Dla orientacji podajemy niektóre pozycje dalszego planu imprez tegorocznych na terenie województwa lubelskiego:

(Dokończenie na str. 11)

KILKA WIZYT U KOBIET-NAUKOWCÓW

PROF. DR JANINA GARBACZOWSKA
Kierownik Katedry Historii Literatury Polskiej UMCS

W roku bieżącym mija dziesięć lat od chwili utworzenia przy Wydziale Humanistycznym UMCS sekcji filologii polskiej. Kierownikiem Katedry Historii Literatury Polskiej został wówczas mianowana prof. dr Janina Garbaczowska, którą przybyła do naszego miasta z Krakowa. Przez ten czas mury uczelni opuściły już dziesiątki polonistów z dyplomami magisterskimi, powstało wiele prac... Mimo, że od tamtych dni dzieli nas już dziesięć lat, prof. Garbaczowska chętnie jednak wraca do nich myślą i dzieli się wspomnieniami:

— Początki pracy były bardzo trudne. Kierownik Katedry, a więc ja i Roman Rosiak, który dzielił robinsonadę naszej polonistyki. Pomalutku zdobywało się ludzi. Osiągnięciem Katedry jest poważny księgozbiór, asystentura, dziś już nie przypadkowa, ale złożona z własnych wyłącznie wychowanków, mnóstwo egzaminów magisterskich i — dwa doktoraty. Magistrzy nasi nie przynoszą nam wstydu: pracują przeważnie w szkolnictwie, ale i na innych placówkach, np. w Wydawnictwie Lubelskim. Wychowankiem Katedry jest jej kolejno asystent, adiunkt, obecnie zaś dyrektor WL — dr Roman Rosiak, pracujący bardzo owocnie dla kultury miasta i kraju. Zdobyczą tych lat jest dobrze pracujące Koło Polonistów które na zjazdach naukowych zwraca niejednokrotnie uwagę przygotowaniem i poziomem kulturalnym w dyskusji, a także seminarium doktoranckie, rekrutujące się z magistrów naszych i nie tylko naszych. Katedra ma w swym dorobku dwie sesje naukowe: ku czci Adama Mickiewicza i Andrzeja Struga, nie licząc szeregu posiedzeń naukowych.

To dziesięciolecie jest jednak wciąż trudne — w jednym pokoju wraz z kierownikiem Katedry pracuje kilka osób. W perspektywie rysuje się nowy lokal w Gmachu Humanistyki, w którym warunki pracy na pewno będą o wiele lepsze.

— *A jak Pani Profesor ocenia nasze miasto z perspektywy tych dziesięciu lat? Co się w nim zmieniło na dobre, co Panią cieszy, co Pani uważa za największą bolączkę?*

— Lublin? Tak — na pewno rośnie, buduje się, upiększa. Rok 1963 i rok 1953 to niebo i ziemia. Zastałam zaniedbane miasteczko, teraz miło mi popatrzeć na ładniejące z każdym dniem miasto. Szanuję jego ambitny, coraz ambitniejszy teatr. To wszystko prawda. Ale życie na co dzień nie należy w tym mieście do łatwych. Do trolejbusu nie podejdziesz w kolejce, bo kolejki nie ma. Trolejbus jest zawsze zdobywany przez tłum, który cię wypchnie, jeżeli nie chcesz używać łokci. A jeśli się o porządek upomnisz, to ci (stale ten sam koncept) zaproponują... taksówkę.

— *Czy mogłaby nam Pani Profesor powiedzieć o planach Katedry na najbliższy okres?*

— Rozbudowa — zarówno personalna (w marzeniach, bo ludzie się nie kwapią do Lublina), jak i naukowa, zważywszy, że wszyscy pracownicy naukowi Katedry, młodzi, zdolni, pełni zapału, mają na warsztacie różne prace — przede wszystkim doktorskie, rozszerzenie działalności Koła Polonistów, a wszystko w aurze bardziej sprzyjającej aniżeli dotychczas. Wizja nowego lokalu jaśnieje nam wszystkim...

— *Ostatnio na półkach księgarskich ukazała się pięknie wydana książka Józefa Bliżińskiego „Dziwolągi i humoreski" z obszerną przedmową Pani Profesor. To jest chyba trzecia pozycja Bliżińskiego w opracowaniu Pani. A jakie są dalsze plany?*

— Oczywiście, że „Rozbitki" Bliżińskiego były początkiem moich zainteresowań autorem. Po „Rozbitkach" przyszło wydanie „Pana Damazego", obecnie zaś „sylwetka" tego autora dla „Obrazu Literatury Polskiej XIX i XX wieku". Gdyby czas sprzyjał, marzy mi

(Dokończenie na str. 4)

SĄD SKORUPKOWY

LEON GOMOLICKI

NIC nie wiemy. Nosimy w sobie śmiertelną chorobę i nic nie wiemy o jej bliskim sąsiedztwie, o jej stopniowym wrastaniu w nasze ciało. Dopiero jakiś nieostrożny ruch, właśnie pełen pewności swych sił, pełen ufności do otoczenia, obliczony na pokaz, i nagle przeszywa kłucie. Z początku nic sobie z tego nie robimy, ale ból nie ustaje, teraz tępy, rozszerzający się, złowrogi i wtedy prawda się ujawnia (kiedy już nie ma ratunku): przyczyna końca, której spodziewaliśmy się z zewnątrz, kryje się w nas samych. Na miejscu pojedynku pozostajemy opuszczeni przez przyjaciół i wrogów, tłum się rozstępuje, z ciekawością przyglądając się naszemu konaniu. Miara pogardliwej obojętności została dopełniona. Zresztą jeszcze nie wierzyłem, wytężałem siły i myśli, zdawało mi się, że wystarczy coś zrobić, ale co? złożyć podanie, przedstawić świadków, odwołać się, potrafić się tłumaczyć, dochodzić na ulicy do przechodniów i tłumaczyć! Siła przekonania mogłaby jeszcze wszystko zmienić, ale trudność polegała na tym, że mój oskarżyciel był nieuchwytny. O ile byłoby wszystko łatwiejsze, gdyby to była jakaś określona instytucja, konkretne grono ludzi! Ale wobec miasta czułem się bezsilny, przegrany z góry. I pierwsze symptomy: zrobiłem się niewidzialny — np. wypadek z lekarzem. Był u matki, kiedy wychodził, chciałem zapytać, lecz przeszedł prawie dosłownie przeze mnie — odsunął ręką, jak zawadzające krzesło, doszedł do umywalki i myjąc ręce rozmawiał z Genią. Potem spostrzegłem, że i na ulicy jestem niewidoczny, ludzie idą na mnie, nie odpowiadając na moje ukłony, patrząc przeze mnie. Niesamowite uczucie. Starałem się jak najmniej wychodzić. Udawało się nawet tygodniami. Były jakby owinięte w watę — śniegu, milczenia.

A więc tamte lata dzielą się wyraźnie na dwie części — i jeśli pierwszą kojarzę zawsze z brzękiem karabinowych kul i owadów, unoszących się nad kwitnącym fragmentem lata, to druga tonie właśnie w milczeniu: na spotkanie ze spadającymi, zlepionymi płatami śniegu wznosi się białe milczenie. Milczenie potęgowały ogrzane ściany pokoju. Pudełko zasypywane śniegiem, na szybie wykresy mrozu z uwzględnieniem spektralnej analizy. Doskonała izolacja, jak w celi, nie, jeszcze doskonalsza, bo prawie bez powietrza — bezpowietrzna pustka wypełniona przez gorączkującą wyobraźnię. Z bólem głowy od gorąca, emanującego od pieca. I nie tylko od gorąca, od nadmiaru kolorów także, choć określiłem milczenie barwą bieli. Właściwie należy powiedzieć: brak koloru, brak wchłaniający każdy odcień, i im delikatniejszy, im mniej poddający się określeniu odcień, tym ostrzejszy dla oczu, tym bardziej męczący wzrok. Zwłaszcza wieczorami i w nocy. W dzień po prostu raziło odbicie światła, ale o zmierzchu nierówności powierzchni śniegu mieniły się barwami dopełniającymi. To nigdy nie był odcień różowy, tylko różowy, lub tylko pomarańczowy, nie — ziemia płonęła różowozielonkawym ogniem, żółtoliliowym ogniem, pomarańczowoniebieskim ogniem, a u góry unosiło się kłębami dymu niebo. Przy tym — poczucie wyjątkowości, jakbym tylko ja widział te barwy. Właściwie miałem powody (tak myśleć), bo ludzie wychodzili i szli nie zauważając nic szczególnego, wydychając obłoczki pary, skrzypieniem kroków naruszając moje milczenie. Potem skrzypienie, stuk furtki i — cisza nagniatana powoli opadającym nadmiarem gwiazd żarzących się w absolutnej czerni.

Szukałem przyczyn, szukałem możliwości wydostania się, a ponieważ rzeczywistość straciła cechy rzeczywistości, szukałem rozwiązań gdzie indziej. Nawet nie w świadomości, która nie umiała mi pomóc, choć oczywiście, — w sobie, bo gdzieżby jeszcze? Stąd pokładałem pewne, niejasne nadzieje w snach i nawet skrzętnie je notowałem. (Jeden tu streszczę ze względu na jego późniejsze reminiscencje: pałacyk z przylegającym, bardzo zaniedbanym parkiem, na wzniesieniu mała rotunda z posągiem wewnątrz kolumnady — z daleka oceniam na kopię Laokoona, ale z bliska wcale co innego i w ogóle cała rotunda przypomina kancelarię parafialną. Urzędnik w czarnym — nawet rękawiczki czarne — za blatem, papiery, na ścianie żelazne, nagrobne wieńce. Wyciąga blankiet protokołu: proszę usiąść, okoliczności śmierci pana ojca? I już bez uprzejmości: mów prawdę, my i tak wiemy! Stwierdzam: nie mam głosu. Zamiast zaprzeczyć — to jakaś pomyłka! — zaczynam krzyczeć).

Potem doszedłem: miałem poduszkę po stronie pieca, przełożyłem i sny ustały. Ale to jeszcze gorsze, bo już ostateczna, beznadziejna, tj. dosłownie, bez żadnej nadziei — próżnia! Więc: musiałem działać. A wpierw należało uprzytomnić sobie: kto mógłby za mną świadczyć? I tu nagle błysnęło: dyrektor! Dlaczego nie pomyślałem o nim od razu. Wszak w krytycznych chwilach miasto obarczyło go władzą. Wprawdzie krótko, lecz miał ją w swoich rękach, trzymał jak kawałek kredy, kiedy przed klasą pisał na tablicy: S=P... Kościste palce, wrażliwe, o szerokich paznokciach — rozkazywały, podpisywały uchwały, wprawdzie nie wyroki, ale możliwie, że właśnie teraz, właśnie on ma na to moralne prawo — na podpisanie mego wyroku! W każdym razie jeśli kto w mieście ma, to właśnie on. Po tych wywodach dziwnie się uspokoiłem. Przynajmniej było jasne jedno: kierunek działania...

...Oparłem się o mur gimnazjum. W oknie mieszkania dyrektorskiego istotnie żółciło się światło. Tu zima miała zapach rozwodnionego kakao, które dawano nam na dużej przerwie w wielkich blaszanych kubkach. Od bramy — starannie zamieciona dróżka do samych drzwi. Odnalazłem w sobie wzruszenie z dawnych lat i strach przed tymi drzwiami. Myślę, że gdyby nie to, że palce miałem całkiem nieczułe, drewniane i odmrożone stopy — za nic bym nie nacisnął dzwonka. Otworzono i jedyne, co poczułem przede wszystkim — to błogość gorąca. Dyrektor siedział natomiast w narzuconym na plecy kraciastym pledzie i czytał: książka w kręgu abażuru stojącej na biurku lampy, na książce ręka w zmarszczonej czarnej rękawiczce. Zarejestrowałem nie zastanawiając się, że wiersze — że czyta wiersze. Szukałem w jego twarzy: była martwa — pewnie cienie od abażuru i podkreślający je zarost. Powieki niebieskie, jak u ptaka, z lekka przykryte zmęczeniem. Wszystko uwydatnia jego wychudłość, wrażliwość na zimno. Mnie zaś cała twarz, pokłuta igłami mrozu, paliła! Miałem wrażenie, że siedzę naprzeciwko paleniska, patrząc bezmyślnie, jak dyrektor zdjął rękawiczki i podniósł dłonie ku lampie, grzejąc. Znałem dobrze — z lekcji w klasie, z jego referatów i przemówień, kiedy obejmowały, ściskały mównicę — te jego palce: długie, z nabrzmiałymi stawami, szerokimi paznokciami, które czyścił i równał pilniczkem, nosząc go zawsze w kieszeni — teraz zobaczyłem jak przeświecone, zasłaniające światło zrobiły się przezroczyste na różowo. Nie mogłem oderwać od nich wzroku, a on tak grzejąc je przy lampie i patrząc w ciemny kąt, zapytał odbarwiając głos prawie do szeptu: jak matka? Więc wszystko o mnie wiedział i pamiętał. Drgnąłem od tego pytania, choć było ciche, szeleszczące. Jakby zaczął przesłuchiwanie. (Tu natychmiastowe skojarzenie z niedawnym snem: w rotundzie urzędnik w czarnym i pytanie o ojcu, mimo woli spojrzałem na ścianę i zobaczyłem pośmiertną maskę z ginsu, kopia szkolna maski chyba Mickiewicza — coś podobnego było i we śnie, nie zupełnie to samo i wiedziałem, że nie śpię, ale ten szczegół był przykry, poczułem na plecach zimne mrowie, zaczynały się dreszcze? (Jak zawsze w cieple po mrozie). Może myliłem się i należało po prostu podziękować, pytanie mogło być całkiem zdawkowe, byłem jednak nastawiony psychicznie właśnie na przesłuchanie. Przygnębiony, wybełkotałem jedynie: źle. Istotnie było źle. Rano idąc do drewutni, aby narąbać drzewa, widziałem za szybą okna twarz matki — zastygłą, szarą. Tak siedziała nieruchomo, póki Genia nie brała jej pod rękę i zaprowadziwszy do kuchni karmiła z łyżki jak dziecko. Była przy tej czynności (to o Geni) zacięta, nachmurzona. Oczywiście szczegółów tych nie opowiedziałem, włożyłem je w jednosylabowe: źle, ale miałem wrażenie, że on je widzi. Oczy miał zimne, wszystkowidzące. Ociągał się z następnym pytaniem, wreszcie: no i co... robimy? Było zwrócone już bezpośrednio do mnie, choć było jasne — pytając o matkę, miał na uwadze również tylko mnie! Rozłożyłem ręce, dopiero spostrzegłszy, że wciąż trzymam w jednej zgniecioną czapkę. Przygladał mi się i nagle ujrzałem siebie jego unicestwiającym, prawie nienawidzącym, lecz utrzymującym się w granicach zimnej ciekawości wzrokiem. Zobaczyłem siebie skurczonego, z rozpaloną, odmrożoną twarzą, tępą, nadrabiającą żałosnym uśmiechem, czerwone ręce, kałuże dokoła stóp, rozpływające się po dębowej napastowanej podłodze. Z góry — do brudnych stóp i z powrotem, do zmierzwionych włosów. Rozumiałem go, byłem po jego stronie i tak samo, jeśli nie głębiej nienawidziłem siebie. On zaś tymże zduszonym głosem (teraz rozumiałem przyczynę — głos załamywała nienawiść) i jakby z wyrzutem: znałem ojca pana. Z zaakcentowaniem pana, po tylu latach szkolnego, pobłażliwego, zaufanego tykania! Naturalnie to nie była replika tylko jego — ojca znało miasto, w imię którego dyrektor przemawiał. Porównanie oczywiście — nie na moją korzyść. Siedziałem skulony, w oczekiwaniu na wyrok. Wtedy odsunął się od lampy i włożył rękawiczki, jakby istotnie szykując się do czegoś — do uroczystego zakończenia sceny. Nie odrywałem od rękawiczek oczu — czarnych, spoczęły na kartach książki i znów uświadomiłem sobie, że to były wiersze, nawet spostrzegłem że łacińskie wiersze. Emerytowany dyktator czytuje w nieopalonym pokoju łacińskie wiersze. Może Napoleon na wyspie też czytał wiersze? I przemawiał w imieniu świata. Zacząłem drżeć, usiłując powstrzymać te dreszcze oczekiwania — bezskutecznie! A on odwlekał chwilę, wciąż przymykając powieki, obserwując spod nich i też czekał. Ja na wyrok, on — na co? Kiedy wreszcie wstanę i dam mu spokój? Wiatr uderzył w okno i zaszeleścił wzdłuż ściany, ocierając ją sucho śniegiem. Trzeba wyjechać — powiedział nagle i drgnąłem. Otworzył oczy szeroko i patrzył z wyraźnym obrzydzeniem, z jakim brał do rąk w klasie kredę i potem ocierał palce ścierką. Z takim obrzydzeniem patrzał teraz na mnie. Tak że rozszerzone źrenice jego mieniły się. Mieniły się obrzydzeniem. Powinienem był wstać natychmiast, ale ten wzrok zupełnie obezwładniał. Powtórzyłem tylko za nim: wyjechać. A więc — sąd skorupkowy. Pisało się podobno na glinianych skorupkach. Ile mogło być takich skorupek z moim imieniem? Prawdopodobnie tyle, ilu mogło głosować w mieście. To była gorzka pewność, a jednocześnie poczułem ulgę: wreszcie! Wyrok zapadł. To jest on musiał już dawno zapaść i dobrze było, że o nim się wreszcie dowiedziałem. Tak proste i czy nie myślałem już o tym, nie byłem przygotowany? Oczywiście wyjechać, zejść z szachownicy. Ale w jaki sposób, dokąd? Tego, rozumiałem, nie mógł radzić. To miasta nie obchodziło. Musiałem się usunąć i tyle. Dokąd chce. Żadnych usprawiedliwień i tłumaczeń. Mogłem w niczym nie zawinić, ważny był nie stan faktyczny, ważny był stan opinii. Zresztą ktoś musiał ponieść winę, przyjąć na siebie karę. Skulony, już unicestwiony wstałem. Widziałem, jak drgnęła jego ręka, ale nie oderwała się od biurka. Nie wyciągnąłem też swojej. Kiedy byłem przy drzwiach, rzucił za mną tonem dawnym — oschłym, wskazówki: drzwi zewnętrzne należy zatrzasnąć, zamykają się automatycznie.

Fragment nowej powieści, która wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

KILKA WIZYT u kobiet-naukowców

(Dokończenie ze str. 3)

się jakaś większa praca o autorze „Pana Damazego". Tematem drugim, który mnie pasjonuje, jest Wacław Berent, „bohater" wykładu monograficznego, „sylwetki" do „Obrazu Literatury Polskiej" i ewentualnie przyszłej większej pracy o tym autorze. Obecnie przygotowuję dla „Regionu Lubelskiego" artykuł o prapremierze „Pana Damazego" w Teatrze Lubelskim.

— *Jaką książkę poświęconą Lubelszczyźnie uważa Pani Profesor za godną polecenia?*

— Ostatnio z przyjemnością czytam Konrada Bielskiego „Most nad czasem", książkę, która, napisana żywo i z talentem pamiętnikarza, nawet ludziom mało znającym Lublin przybliża miasto, jego tradycje, ludzi, a przede wszystkim osobę zaangażowanego w sprawy Lublina autora.

DOCENT DR
KRYSTYNA MODRZEWSKA
KATEDRA ANTROPOLOGII UMCS
Były kierownik Pracowni Demografii Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi

— *Bibliografia prac Pani Profesor liczy kilkadziesiąt pozycji, przy czym przeważają publikacje poświęcone badaniom antropologicznym i z dziedziny demografii. Czy moglibyśmy dowiedzieć się, które z tych prac — Pani zdaniem — należy szczególnie wyróżnić?*

— Moje zainteresowania naukowe zaczęły się w roku 1932, kiedy jako uczennica Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, napisałam na konkurs szkolny pracę pt. „Etnograficzna analiza Krynicy-Wieś", zdobywając dzięki niej drugą nagrodę. Najwięcej satysfakcji dała mi praca doktorska pisana pod kierunkiem prof. Jana Mydlarskiego w roku 1947 pt. „Parafia Mełgiew jako biologiczny krąg izolacyjny". W pracy tej miałam okazję udowodnić, że na przestrzeni lat 1810—1945 około 90% małżeństw zostało zawartych w ścisłym kręgu terytorialnym wspomnianej parafii. Konsekwencją biomorfologiczną tego stanu rzeczy jest fakt, że zwiększyło się podobieństwo wewnątrzpopulacyjne, a więc uformował się typ morfologiczny charakterystyczny dla małych zespołów ludzkich Spośród 43 swoich prac wymieniłabym jeszcze publikację pt. „Z badań nad stosunkami ludnościowymi półwyspu Hel". Praca ta znajduje się obecnie w druku w „Annales UMCS".

— *Który z problemów naukowych interesuje Panią Profesor aktualnie najbliżej?*

— Przede wszystkim umieralność niemowląt na świecie. Jest to zagadnienie niewątpliwie dużej wagi, ponieważ dziennie umiera na świecie około 16.100 niemowląt, zaś w ciągu roku liczba ta wynosi 5.876.500 zgonów.

— *Wśród prac Pani Profesor jest dużo publikacji związanych z naszym regionem...*

— Oczywiście, poza już wymienionymi publikacjami mogę wymienić jeszcze dla przykładu takie prace, jak: „Porody bliźniacze w Lublinie i niektórych gminach pow. lubelskiego" (1949), „Czaszka z monetami z XVIII w. z Lublina — Kalinowszczyzny" (1955), „Z badań nad rozwojem ludności parafii Puchaczów w latach 1797—1945" (1956) i inne. Mam również przygotowaną do druku monografię pt. „Zarys demografii województwa lubelskiego".

— *Czy obrany kierunek zainteresowań daje Pani Profesor zadowolenie?*

— Pozornie problemy, którymi się zajmuję mogą się wydawać mało interesujące, w rzeczywistości jest jednak zupełnie inaczej. Wyjątkowo ciekawe są badania mające na celu ustalenie ojcostwa, które przeprowadzam dla sądów lubelskich i warszawskich.

— *Jak Pani Profesor ocenia swoją pracę ze studentami?*

— Muszę przyznać, że nie jestem zadowolona z tego, co daję studentom. Uważam, że choć narzekają oni na nadmiar przekazywanych im wiadomości, należałoby dawać ich jeszcze więcej. Dosyć pesymistycznie muszę też ocenić perspektywy rozwojowe Katedry. Mamy trudne warunki lokalowe, personalne. Szczególnie dotkliwie odczuwa się brak licznej młodej kadry, która garnęłaby się do pracy.

— *Czy mogłaby nam Pani Profesor zdradzić, czym interesuje się poza problemami naukowymi? Czy łatwo je pogodzić z codzienną pracą?*

Interesuje mnie bardzo literatura piękna. Trudno jednak pogodzić obowiązki zawodowe z jednoczesną potrzebą wypowiadania się w formie literackiej. To jest zupełnie inny zakamarek mojej osobowości. Można powiedzieć, że w grę wchodzą tu dwie różne osoby.

PROF. DR REGINA GERLECKA
Pracownik Katedry Historii Literatury Polskiej UMCS

— *Na wstępie pragnęlibyśmy dowiedzieć się, nad jakim zagadnieniem aktualnie Pani Profesor pracuje?*

— Obecnie kończę pisanie pracy o charakterze komparatystycznym, dotyczącej związków literackich i ideowych między Tołstojem a wielkimi realistami polskimi XIX i XX wieku (Prus, Orzeszkowa, Orkan).

— *Czy praca ta opiera się tylko na źródłach polskich?*

— Oczywiście nie. Jeśli chodzi o recepcję Tołstoja w polskiej krytyce literackiej musiałam sięgnąć również do materiałów rosyjskich.

— *Nadarzyła się więc sposobność do odwiedzenia Związku Radzieckiego?...*

— Tak. Byłam w ubiegłym roku w Moskwie i wiele skorzystałam ze zbiorów z Muzeum Tołstoja. Należałoby jednak pojechać jeszcze do Francji, ponieważ właśnie za jej pośrednictwem autor „Anny Kareniny" został przeszczepiony na grunt polski.

— *Czym interesuje się Pani Profesor poza pracą naukową, może moglibyśmy dowiedzieć się, jakie jest hobby Pani Profesor?*

— Najpierw moim specjalnym obiektem zainteresowania były szachy. Byłam mistrzynią Polski i wicemistrzynią świata przed wojną. Brałam udział w olimpiadach szachowych w Wiedniu i Sztokholmie. Grałam m. in. z mistrzem świata, Kubańczykiem Capablancą i ta rozgrywka utkwiła mi najbardziej w pamięci. Dzięki szachom zwiedziłam dużo krajów, mając okazję do zadowolenia z odnoszonych sukcesów. Szczególnie cieszyło mnie to, że w okresie, w którym kobiet grających w szachy było w ogóle mało — mogłam reprezentować barwy Polski i słuchać w obcych krajach naszego narodowego hymnu. Na temat szachów pisałam zresztą wiele artykułów, podkreślając ich ogromne znaczenie wychowawcze. Obecnie moim nowym hobby jest literatura pamiętnikarska, szczególnie z okresu II wojny światowej.

— *Które z książek Pani Profesor uważa za szczególnie ciekawe i godne polecenia?*

— Przede wszystkim powieść Romana Bratnego „Kolumbowie rocznik 20". Książka ta jest mi bardzo bliska, gdyż bodaj najwierniej oddaje obraz powstania warszawskiego i okupacji hitlerowskiej. Do najcelniejszych osiągnięć ostatnich lat zaliczyłabym dwie książki Brezy: „Spiżową bramę" i „Urząd". Z chęcią sięgam również po pamiętniki Grzymały-Siedleckiego, Mortkowicz-Olczakowej czy Górskiej, gdyż zbliżają one czytelnika do epoki, która jest szczególnie interesująca. Ostatnio jestem pod wrażeniem książki Załuskiego „Siedem grzechów głównych". Książka ta poruszyła żywo opinię publiczną a dyskusja na temat bohaterstwa i tradycji polskich wykroczyła daleko poza ramy książki. Żadna dotąd książka nie potrafiła tego spełnić, stąd też była ona wyrazem zapotrzebowania społecznego (model nowego Polaka). Osobiście podpisuję się pod tezami Załuskiego (z małymi zastrzeżeniami).

— *Pani Profesor dojeżdża do Lublina z Łodzi. Ciekawi nas, jak się Pani w naszym mieście czuje i czy uśmiecha się Jej perspektywa zamieszkania tutaj na stałe?*

— O, to bardzo istotne. Czuję się tu jak w domu. Zbliża mnie do Lublina wiele: dzieciństwo, nauka w gimnazjum w Zamościu, grób ojca. Trafiłam do Lublina po przebyciu dłuższego szlaku: Poznań, Warszawa, Śląsk, Łódź. Jestem tutaj gościem, dlatego też może łatwiej i lepiej mogę widzieć wiele zjawisk, które zasługują na szczególne podkreślenie: przyjacielską życzliwość środowiska, w którym pracuję, dużo dobroci z różnych stron. A jednocześnie jest to naprawdę piękne miasto. Trudno o lepszą wymowę osiągnięć Polski Ludowej, niż zestawienie obrazu Lublina z roku 1939 i 1958, w którym powróciłam do tego miasta. To są rzeczy wprost nieporównywalne. Miasto młode, dynamiczne. Mam możność konfrontować dwa uniwersytety i muszę przyznać, że młodzież lubelska jest pod względem psychicznym zdrowsza. Darzę ją dużym sentymentem i nie wyobrażam sobie pracy poza młodzieżą. Perspektywa zamieszkania w Lublinie jest bardzo pociągająca ze względu na UMCS i bliskich mi ludzi. Od dwóch lat brak jednak mieszkania zmusza mnie do dojazdów. Mam tylko nadzieję, że wszystko ułoży się pomyślnie. Tęsknię bowiem za Lublinem po każdym wyjeździe i chciałabym jak najszybciej poczuć się jego stałą mieszkanką.

DR MARIA PROST
Pracownik naukowy Katedry Parazytologii przy Wyższej Szkole Rolniczej

— *Sądząc z dotychczasowych publikacji Pani Doktor w centrum jej zainteresowania znajdują się ryby. Czy praca doktorska również była im poświęcona?*

— Tak. Pisałam na temat: „Monogenoidea skrzeli ryb Wisły". W pracy tej chodziło o ustalenie zestawu gatunkowego pasożytów z tej grupy, zależnie od przekroju rzeki (od źródeł Wisły do jej ujścia). Badałam wpływ różnego środowiska na pasożyty skrzeli, wykrywając duże różnice w składzie ilościowym i jakościowym. Szczególnie duży wpływ na stan pasożytów mają ścieki z fabryk na odcinku poniżej Warszawy, następnie dużą rolę odgrywa bieg Wisły, zasolenie rzeki przy ujściu do Bałtyku itd. Podjęcie tego tematu wymagało dużo pracy, ze względu na to, że podobnych publikacji prawie nie ma.

— *Jak brzmi temat pracy habilitacyjnej Pani Doktor?*

— „Badania nad rozwojem i chorobotwórczością Dactylogyrus anchoratus oraz Dactylogyrus extensus dla karpi hodowlanych". Temat ten ma swoje uzasadnienie głównie w tym, że co roku ponosimy duże straty w hodowli narybku.

— *A więc więź teorii z praktyką?*

— Tak. To jest duża przyjemność, że można dzięki pracom teoretycznym oddawać usługi praktyce.

— *Jest Pani jednocześnie pedagogiem i matką, czy można zapytać, jak w oparciu o te dwa źródła kształtuje się pogląd Pani Doktor na młodzież?*

— Młodzież nie jest taka zła, za jaką się ją uważa. Jest tylko małe porozumienie między pokoleniem młodszym a starszym, często brak zrozumienia rodziców (zmęczenie pracą, brak czasu dla dziecka itd.). Wypracowanie porozumienia między dzieckiem a rodzicami wymaga systematycznej pracy. Trzeba też pamiętać, by od młodzieży nie wymagać ani za mało, ani za dużo.

— *Jakie jest Pani hobby?*

— Góry, turystyka i książki (zwłaszcza Hemingway i Steinbeck).

— *Czy mąż podziela te zainteresowania?*

— Częściowo tak. Podobnie jak ja lubi wakacje, ale zamiast gór woli urlop nad morzem.

— *Która ze sztuk granych w Teatrze im. J. Osterwy najbardziej się Pani Doktor podobała, którą zaś uznałaby Pani za najsłabszą?*

— Bezkonkurencyjny jest dla mnie „Romulus Wielki" ze Świderskim w roli tytułowej. Najsłabszą pozycją jest chyba „Inkarno". Jest niezrozumiała i nieprzyjemna.

Rozmawiała: **E. R.**

WACŁAW GRALEWSKI

MATKA

Jesteś ziarnem rzuconym w ziemię,
małym pyłkiem zagubionym w głębinie.
Czas Twój płynie — nic o nim nie wiesz,
nic — o spełnień najdziwniejszej godzinie.

Usta Twoje rozchyli żar słońca
i obudzi niewyśnionych słów dreszcze.
Spojrzeń tkliwych gwiazdy migocące
spadną złotym zeusowym deszczem.

Rozkołyszą się chciwie ramiona
i zapragną zwycięsko róść w górę.
Ciężar trwania — myśli rozwichrzone
ogień marzeń okryje purpurą.

Dnie i lata przecwałują jak cienie
chwil tabunem do drogi ostatka.
I zakwitnie na Twych wargach westchnienie
wydobyte z dna:
— Matko!...

Władysław Podstawka zginął w Oświęcimiu

KONSTANTY TUROWSKI

WŁADYSŁAWA Podstawkę, poetę lubelskiego, poznałem w okresie gimnazjalnym. Pochodziliśmy prawie z tych samych stron: ja — z Nasutowa, położonego 15 km od Lublina, on — z Jakubowic Końskich, odległych o 8 km. Uczęszczaliśmy jednak do innych gimnazjów: on do Szkoły Lubelskiej, ja — do gimnazjum Vetterów — dlatego kontakty nasze były sporadyczne. Podstawka był znacznie młodszy i trzymał się z dala od naszej grupy uczniowskiej.

Widywałem go częściej, gdy moi rodzice przenieśli się w r. 1928 na kolonię Jakubowice, a więc w sąsiedztwo wsi rodzinnej poety, szczególnie zaś, gdy zacząłem uczęszczać na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Publikował wtedy m. in. wiersze w miesięczniku akademickim „Nurty", którego byłem jednym z inicjatorów i założycieli.

Po studiach przeniosłem się do Krakowa. Później wojna i obóz jeniecki. Kiedy po powrocie z niewoli odwiedziłem rodzinę — dowiedziałem się, że Podstawka zginął zamordowany przez Niemców. Nie umiano mi jednak podać szczegółów, ani okoliczności śmierci. Po kilku latach postanowiłem odwiedzić wreszcie matkę Władysława, o której wiedziałem, że gospodarzy na kawałku ziemi. Ojciec zmarł (chorował na gruźlicę) kilka lat przed wojną. Kiedy w listopadową niedzielę 1962 r. wstąpiłem do domu Podstawków, zastałem Dominikę Podstawkową, matkę poety, przy gotowaniu obiadu. Nawiązanie rozmowy odbyło się łatwo. Matka Władysława znała moją rodzinę. A poza tym chodziło przecież o jej syna.

Ojciec poety, Franciszek Podstawka, należał w Jakubowicach do zamożnych i cenionych gospodarzy. Stary ród wrośnięty w wieś. Spośród kilkorga dzieci — opowiada matka — postanowił wykształcić choć jednego syna, „żeby — jak mawiał — choć jednemu było nieźle". Wybór padł na Władka. W szkole powszechnej chłopiec miał stopnie dobre i interesował się książką. Zdał egzamin do I klasy Szkoły Lubelskiej. Przechodził z klasy do klasy, aż w siódmej mu się nie powiodło. Repetował. Ojciec bardzo się na niego pogniewał, bo szkoła z bursą kosztowała 130 zł miesięcznie, na co trzeba było sprzedać kilka metrów pszenicy. To był duży pieniądz i ojciec nie mógł Władkowi tego darować. Przez kilka miesięcy syn był poza domem, u brata. W końcu doszło do zgody, Władek wrócił do szkoły i ukończył ją. W każde wakacje musiał pracować w gospodarstwie.

— Później — kontynuuje Podstawkowa — zapisał się na Uniwersytet Lubelski, ale tak jak by nie skończył. Mówiłam mu ciągle, że powinien czymś być, ale zawsze odpowiadał: Mamo, nie martwcie się, dam sobie radę. Potem pracował. W Lublinie, w Związku Zachodnim. Chyba i w Warszawie. Aż wybuchła wojna i wzięli go do wojska. Dostał się do niewoli. Pisał z obozu, żeby się starać o jego zwolnienie jako jedynego żywiciela matki. Staraliśmy się przez Czerwony Krzyż i wrócił. Mówił, że dobrze mu się powodziło. Malował portrety. Nawet Niemcom. Zarabiał tyle, że — jak twierdził — około dwudziestu kolegów za to dożywiał. Nam wszystkim podarunki przywiózł. Po powrocie z niewoli nie usiedział długo na miejscu. Często chodził do Lublina, w domu ciągle czytał książki. Aż kiedyś wziął po ojcu spłatę, wszystkim się z części ojcowej odpisał i wyjechał na stałe. Tylko przychodziły do mnie listy z Warszawy od jakiejś Joanny Teslar. W pierwszym liście tak pisała: „Syn do mnie pisał, żeby Pani mnie informowała, co w domu słychać". Więc pisywałam. Aż przyszła wiadomość, że zmarł w Oświęcimiu. Na jesieni 1940 r. wrócił z niewoli, a w marcu 1941 zabrali go. Później, już po jego śmierci, dowiedziałam się, że pojechał do Zamościa, do kolegi. Niemcy przyszli po kolegę, zastali Władka i aresztowali go.

— A może jakieś materiały zostały po Władku?

— Trochę było, ale zaginęło. Powinna być metryka, bo pisałam po nią do Oświęcimia.

Podstawkowa wyszła do drugiej izby i przyniosła szufladę pełną papierów wymieszanych z najrozmaitszymi drobiazgami domowego użytku... Zacząłem przeglądać papierek po papierku. Były to przeważnie nakazy podatkowe, pokwitowania pieniężne i kontyngentowe z wielu lat.

— Trzeba to wszystko przechowywać — robi uwagę matka poety — bo ciągle się upominają, nawet o to, co już dawno zapłacone...

Nagle wygrzebuję dwie korespondentki jenieckie. Pierwsza zawiera jedynie informację, że Podstawka przebywa w stalagu VII A, jako jeniec nr 28230. Była to pierwsza karta pocztowa, jaką się wysyłało z Niemiec do najbliższej rodziny. Na drugiej karcie, bez daty, doręczonej przez oddział lubelski PCK, pisał:

Kochana Mamo! Paczkę i list otrzymałem. Jestem zdrów. Piszcie do mnie często. Jeśli będzie można — starajcie się o moje zwolnienie, jako potrzebnego w gospodarstwie. — Władek.

Szukam dalej. I oto mała kartka z Oświęcimia. Na jednej stronie mocno przyblakłe pismo ołówkiem chemicznym.

Auschwiz 16/15 18/V 19.38
Dominika Podstawka
Jakubowice Końskie. Gem. Jastków bei Lublin.
Sohn Władysław ist Konzentrazionlager Auschwitz verstorben.
Der Komandant.

A na odwrocie wyraźnym atramentowym dużym pismem:

Oświęcim 16/15 18.V. g. 19.38
Dominika Podstawka wieś Jakubowice Końskie, Gmina Jastków koło Lublina.
Syn Władysław w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu zmarł.
Komendant.

— Powinna być jeszcze metryka — przerywa milczenie matka. — Pisałam do Oświęcimia i przysłali.

Szukam w resztce papierów i odnajduję. Akt zgonu stwierdza, że Władysław Podstawka zmarł w Oświęcimiu 17 maja 1942 r. o godz. 9 minut 10. A więc w maju 1962 r. upłynęło dwadzieścia lat od śmierci poety.

— Joanna Teslar napisała mi, żeby starać się o prochy. Ale o to nie pisałam...

Nie pytam, gdyż wiem, dlaczego. Zwyczaj ten wśród jest obcy. A poza tym może matczyne serce wyczuwało, że te prochy nie będą prochami jej syna?

— Jak się wam żyje? — pytam.

— E, ciężko. Gospodarzę z synem. Ma czterdzieści lat, ale nieżonaty, więc ja wszystko za kobietę muszę zrobić. A mam siedemdziesiąt dwa lata. Chorują na żołądek. Nie mogę jeść, nie mogę krzyża wyprostować. Trzeba się męczyć, aż śmierć wybawi... Władek był dobry chłopak. Obiecywał, że mnie zabierze z sobą. A ja mu zawsze na to: Co ja bym u ciebie w mieście robiła? Dobry był chłopak. Miał serce. A teraz... Żeby chociaż kontyngent zmniejszyli. Bo bez sił i zdrowia, a muszę zapracować dla siebie, na podatki i na kontyngent... Może pan by coś poradził... Z tym kontyngentem...

Usiłowałem moją rozmówczynię wyprowadzić z błędu co do moich możliwości. Ale obiecałem, że napiszę. Może ktoś, kto jest kompetentny, zainteresuje się kłopotami starej kobiety, matki poety, który obiecywał jej lepszy los na starość, ale przyrzeczenia nie może spełnić, gdyż oddał życie za Ojczyznę. Tak jej tłumaczyłem. Bo cóż mogłem innego powiedzieć?

Kiedy rozmowa nasza dobiegała końca, do izby wpadła gromadka dzieci, a wśród nich kilkunastoletnia siostrzenica poety. Szybko się zorientowała, że to „pan w sprawie wujka Władka".

— Babcia ma jeszcze wiersz, a my mamy dwa zdjęcia, tyle zostało — zakomunikowała mi z miejsca. I wpadła do drugiej izby. Przyniosła starą postrzępioną gazetę z urwanym nagłówkiem. Odszukałem wiersz Podstawki i czytałem:

DO MATKI

Do góry żagle nocy — wypływam na połów
mgieł w trawie zaplątanych — uwięzłych w szuwarach...
— Ty bledniesz? Tak potrzeba — wciąż niżej — [ku dołom,
ku wyrwom pełnym śmierci — matko moja stara.

Marzyłaś — syn daleko i wysoko — biały...
— O matko — jakoż wzlecieć, kiedy serce cięży.
Zostanę już do końca w gorzkich dni uprzęży.
Płakały twoje oczy i będą płakały.

Wąwozem iść mi głuchym — ponurym parowcem
i śpiewać — wołać pieśnią żelazem zakrzepłą...
— Nie żałuj. Połóż ręce na płonącą głowę —
Na chłody — zawieruchy — chcę mieć rąk twych ciepło.

Spojrzałem. Matka poety siedziała na ławie przy piecu, skulona, z głową zwieszoną. O czym myślała? Matka, która z całej puścizny swego syna, niewielkiej, ale jakże zapowiadającej jego nieprzeciętność — zachowała tylko jeden wiersz...

Wpadają dzieci i przynoszą dwa zdjęcia. Jedno z nich — w berecie — pochodzi z okresu, kiedy poeta wrócił ze stalagu. Zapewne ostatnia jego fotografia.

W grudniu rozmawiałem z wujem poety, Władysławem Martyną, który znał Joannę Teslar. Działalność okupacyjna poety nie jest mu znana. Dużo mógłby na ten temat zapewne powiedzieć Joanna Teslar. Niestety, po powstaniu warszawskim więcej jej nie spotkał.

ZDZISŁAW POPOWSKI

PAMIĘCI WŁADYSŁAWA PODSTAWKI

Odchodząc nie powiedziałeś,
gdzie się spotkamy:
w cukierni Semadeniego,
czy przy Niecałej?

A może to wszystko nieprawda,
że Lublin w trzydziestym szóstym...
I tylko czas tak nakłamał,
aby nas bardziej zasmucić?

Ej Ty, szumiąca brzozo
z jakubowickiej roli,
gdzieś swoje pieśni poniósł:
„Stopy w niewoli"?

Jeżeli Cię kiedyś spotkam
na gościńcu gwiaździstym,
dam Ci z lubelskich ogrodów
wszystkie szepty i cisze.

I takie noce lubelskie,
które przez Stare Miasto
wlodły w maje i czerwce
do Jana z Czarnolasu.

*) Z przygotowanego do druku zbioru „Srebrne lichtarze".

W Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie odbyła się prapremiera polska „Wygnańców" Joyce'a. Na zdjęciu: Halina Machulska (Berta) i Stanisław Mikulski (Rowan). Recenzja ukaże się w następnym numerze „Kameny"

Konkurs LOK

Zarząd Wojewódzki Ligi Obrony Kraju w Lublinie wspólnie z Wydziałem Kultury Prezydium WRN, Związkiem Literatów Polskich, Zarządem Wojewódzkim Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich i Redakcją „Kuriera Lubelskiego" ogłasza konkurs na utwór literacki w formie opowiadania, reportażu, pamiętnika, wierszy.

Treścią prac winny być wspomnienia obrazujące powstanie, życie i walki oddziałów Ludowego Wojska Polskiego, partyzanckich w okresie II wojny światowej, podkreślające m. in. braterstwo broni z Armią Radziecką, wyzwolenie poszczególnych terenów Polski z uwzględnieniem Ziem Zachodnich, oraz wkład wojska i rezerwistów w zagospodarowanie terenów odzyskanych. Prace mogą również obrazować życie oddziałów LWP w obecnym okresie.

Na konkurs należy nadsyłać prace nigdzie dotychczas nie publikowane, opatrzone godłem. W zaklejonej kopercie również opatrzonej godłem winna znajdować się kartka z nazwiskiem, imieniem i dokładnym adresem. Utwory prozą nie powinny przekraczać 10 stron maszynopisu. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 kwietnia 1963 r. (decyduje data stempla pocztowego). Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w czerwcu 1963 r.

Najciekawsze prace będą publikowane na łamach „Kuriera Lubelskiego".

Przewidziane są następujące nagrody:
w dziale prozy:
I nagroda — zegarek szwajcarski wysokiej klasy,
II drugie nagrody — po 500 złotych,
III trzecie nagrody — po 300 złotych.
W dziale poezji:
I nagroda 700 złotych,
dwie II nagrody po 400 złotych,
trzy III po 200 złotych.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Skład Jury podany zostanie w późniejszym terminie. Prace należy nadsyłać pod adresem Zarządu Wojewódzkiego Ligi Obrony Kraju Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście nr 47 z dopiskiem na kopercie „Konkurs Literacki".

PAMIĘTNIK ZNALEZIONY W MAKULATURZE

I nagroda na konkursie „Kameny" p. t. „Dzień powszedni nauczyciela"

KAZIMIERZ GÓRAWSKI

W załączaniu przesyłam „Pamiętnik znaleziony w makulaturze", jako rezultat apelu Redakcji.

Zaznaczam: tytuł, forma, osoby — to fikcja. Fakty natomiast są jak najbardziej prawdziwe. Miejsce — bliżej nieokreślone. Ot gdzieś w województwie. Przecież nie o to chodzi — prawda?

Jakim trafem znalazł się w tym stosie papierzysk ten cieniutki zeszyt — nie wiem. Faktem jest, że znalazł się w moim posiadaniu zupełnie przypadkowo. Przypadek ten pozwolił mi poznać wycinek z życia drugiego człowieka. Oto ono.

15.V. Piątek. Już mnie cholera bierze. Od kwietnia nic, tylko sport. Kiedy ja wreszcie zacznę uczyć? Władzy to dobrze — zleci wykonanie zarządzenia, a ty, człowieku, już sam martw się tym jak pogodzić jedno z drugim. Dopiero połowa miesiąca, a ja dzięki tym treningom i przygotowaniom do Spartakiady straciłem już 38 godzin lekcyjnych. Kiedy nadrobić zaległy materiał? A tu jeszcze trzeba pytać bo i koniec roku bliski.

Godz. 13.00. Zebranie w KP. Mam dziś jeszcze obsłużyć zebranie w K. Ileż to razy prosiłem już, ażeby o tych sprawach dawano znać przynajmniej o dzień wcześniej. Kamień w studnię moje słowa. Znowu diabli wezmą lekcje popołudniowe no i moje przygotowanie do lekcji na dzień jutrzejszy

Muszę jeszcze kupić cukier do domu, bo Wiśka wraca dziś dopiero po 19.00 i nie zdąży kupić.

Godz. 23.00. Wreszcie po wszystkim. W K. zawalił się nowo zbudowany most na rzece. Wielokrotne interwencje u najwyższych powiatowych czynników nie odnoszą skutków. Brak pieniędzy. A tu ludzie muszą chodzić do pracy okrężną drogą nadrabiając 5 km ponad normę. Bagatela. Obiecałem interweniować u I sekretarza Zaraz, kiedy bym tam poszedł? Jutro mamy sobotę i nie wiadomo czy zastanę kogo w KP po dwunastej, bo dopiero po dwunastej mam „okienko" po pięciu lekcjach przed południem. Zaraz, jakie to ja mam jutro lekcje? W III a dwie godziny — „Dziady" cz. III, w Ib — Rozpacz Achillesa, w IV a — „Zając" Dygasińskiego i w II b imiesłowowy równoważnik zdania. Można wytrzymać. Wprawdzie uczę już 9 lat, ale ostatnio jakoś mi coraz trudniej idzie w szkole. Czuję, że brak mi systematycznego przygotowania do lekcji. A kiedy to przygotowywać się?

Małe śpią. Wiśka mówi, że Franek dziś gorączkował. Teraz śpi spokojnie. Muszę mu jeszcze zmierzyć raz przed zaśnięciem temperaturę.

16.V. Sobota. Godz. 22.10. Jeszcze jeden dzień poza mną. Uff... Przynajmniej jutro będzie można się przespać porządnie.

W budzie była mała chryja. „Tanges" wybrał się dziś ze swoją klasa na wycieczkę do Sanoka. Jeszcze tydzień temu zgłaszał „Staremu" o tym. Wówczas „Stary" nie miał nic przeciwko temu. Dziś w ostatniej chwili nie zgodził się, a tu chłopcy przyszli już bez książek i z biletami wykupionymi na dworcu. Dopiero to zmusiło go do wyrażenia zgody.

Jakoś miesiąc temu na konferencji rejonowej mieliśmy piękne seminarium na temat roli, jaką spełniają wycieczki w procesie dydaktyczno-wychowawczym. Po referacie wywiązała się nawet ożywiona dyskusja. Ten i ów z nauczycieli, zdopingowany tym, zaplanował wycieczkę w teren. Ten i ów z dyrektorów tudzież z kierowników szkoły zaaprobował plan i w planie pracy szkoły pod rubryką wycieczki zafajkował — „załatwione". Ale niektórzy zaoponowali: „Panie kolego, pan żartuje? teraz wycieczkę? Przecie tuż, tuż koniec roku! Pytać, pytać! Na wycieczki czas będzie w ostatnim tygodniu". Wyjaśnienia, że wycieczka wiąże się z programem nauczania, że przyniesie tylko korzyść uczniom, spływały po kierowniku jak woda. „Pan mnie kolego, nie będzie uczył. Ja sam wiem, co to jest wycieczka".

Otóż to. Było zebranie? Było. Był referat? Był — nawet z ożywioną dyskusją. Ale praktyka z teorią nie zawsze lubią chadzać w parze.

Dziś u „Mechaników" mieli wizytację. Oho, coś się kręci. Pewnie i nas odwiedzą. Co prawda, już przez trzy lata nikt do nas nie zaglądnął. Aż dziw jak myśmy się uchowali.

„Wymoczek" opowiadał jak mu poszło. Postanowił przeprowadzić lekcję w swej klasie systemem podziału klasy na zespoły. Klasę 40-osobową podzielił na 10 zespołów czteroosobowych i każdy z zespołów otrzymał zagadnienie na kartce do samodzielnego przygotowania w oparciu o tekst literacki. Jeden z zespołów stanowił coś jak gdyby komisję wniosków i jego zadaniem było podsumowanie wyników dyskusji. Lekcja udała się nad podziw. Ale że to była ostatnia godzina nauki, pozwolił sobie nauczyciel przeciągnąć lekcję o 6 minut. Wizytujący lekcję ani słowem nie skwitował widomych pozytywów lekcji, natomiast nie posiadał się z oburzenia, jak można lekcję przedłużyć...

Z Frankiem w porządku. Po zeszłorocznym zapaleniu płuc, które przeszedł wiosną, dmuchamy już raczej na zimne. Na szczęście nic nie grozi. Gorsza sprawa natomiast z Jolką. Połknęła rano przy zabawie z babcią złotówkę. Babcia poszła zaraz z nią do lekarza. Twierdzi, żeby się nie przejmować, że to rzecz normalna i nie powinno być żadnych komplikacji...

Sekretarza nie zastałem — jak było do przewidzenia. Zdołałem ze szkoły wyskoczyć dopiero o trzynastej. W tym czasie już nikogo nie ma w Komitecie. Byłem w Prezydium, ale i przewodniczącego nie zastałem. Zostawiłem mu rzecz całą opisaną na biurku. Może zauważy... Mięsa już żadnego nie dostałem. Co tu jutro Wiśka zrobi na obiad? Pewnie trzeba będzie znów coś z mąki.

Będę musiał jutro smarkaczom jakąś bajkę opowiedzieć. Dopominają się cały tydzień, a ja zwodzę ich jak mogę obiecując wciąż, że jutro. Ale jutro to już na pewno.

Zrobiliśmy dziś z Wiśką tygodniowy remanent rodzinnej kasy. Może, jak coś nie wyskoczy, dociągniemy do pierwszego. Mówi Wiśka, że w środę przyjeżdża Teatr Siemaszkowej z Rzeszowa z „Indykiem". Trzeba będzie i ten wydatek uwzględnić.

Wieczorem miałem odwiedziny. Przyszedł Staszek. Jest teraz w W. kierownikiem miejscowego Ośrodka Zdrowia. Jak on to u licha robi? Jest felczerem, a zajmuje etat dyplomowanego lekarza. Kawaler, dobrze zarabia, nie wie chłopisko co robić z pieniędzmi. Kupił sobie „Osę" i zamknął ją w garażu, a sam jeździ „Jawą". Na drogi w W. „Osa" się nie nadaje. Gdy sobie pomyślę, że spędziłem wakacje wraz z żoną i dziećmi na rowerach, wskutek czego zasięg naszych wycieczek nie przekraczał 20 km odległości od domu, płakać mi się chce. Pogadaliśmy o tym i o owym. Ponarzekaliśmy. Wypiliśmy po dwie kawy. Staszek proponuje mi pożyczkę. Ja wiem? A może by się jednak zdecydować? Chociaż... W tamtym roku, gdy Franek chorował, również zapożyczyłem się u Staszka i ledwie niedawno zdołałem spłacić mu ostatnią ratę. W Związku też pozostały mi jeszcze trzy raty po 200 zł. Na razie nie jest najgorzej, zaczekam. Jak coś „wyskoczy", to chyba trzeba będzie skorzystać z propozycji.

Dziś wreszcie przyszły tak długo oczekiwane przez mnie przeźrocza. Zamówiłem je jeszcze w styczniu. Rzecz jasna, że nie przesłali mi ani połowy z tego, co zamówiłem, ale dobra i to. Dysponuję w tej chwili zestawem około 120 filmów na tematy związane z literaturą, malarstwem, architekturą i rzeźbą. Tylko dlaczego przysłali 25 filmów z zakresu zupełnie mnie nie interesującego, których jako żywo nigdy nie zamawiałem? Po cóż mi „Uprawa tytoniu", „Glony", „Sadzenie buraków" czy też „Kukurydza"? Odesłałem im z powrotem te filmy z prośbą o wyjaśnienie. Zanim jednak rzecz się wyjaśni, minie zapewne znowu z pół roku.

17.V. Niedziela. Wreszcie dzień wolny. Czuję, że dłużej nie pociągnę takim trybem życia. Serduszko pika, od od czasu do czasu dając znać o przemęczeniu.

Miałem zamiar spać, a przynajmniej poleżyć gdzieś do jedenastej, ale nie udało mi się tego zamiaru zrealizować. Już o ósmej rano zaczęło się.

Pochód gości rozpoczął mleczarz, który stwierdził z przykrością, że od jutra już nie będzie mógł dostarczać mleka do domu, tylko trzeba będzie po nie samemu chodzić. Jeszcze jeden obowiązek codziennie rano spada na moje barki.

Około godziny 8.30 zameldował się ojciec H. Wprawdzie wzywałem go na inny dzień, ale to też człowiek pracy i przyjechał wtedy, gdy mógł. Dobrze, że w ogóle przyjechał. Już dwa lata mam w tej klasie wychowawstwo a dopiero w dniu dzisiejszym miałem zaszczyt poznać rodzica. Rozmowa nasza trwała przeszło godzinę. Spanie poszło więc w odstawkę. Ogoliłem się, wykąpałem i... Przyszła woźna ze szkoły z karteczką od „Starego", że nie przyszedł dziś na lekcję „Kupidynek" i że „prosi się kolegę o łaskawe zastępstwo". Zakląłem w duchu, ale głośno wyraziłem zgodę. Mamy w budzie Technikum Zaoczne, w którym zajęcia trwają w każdą sobotę po południu i w niedzielę do 14.00. Nie zdążyłem już zjeść śniadania. W domu byłem o pierwszej w południe. Akurat na obiad. Po obiedzie wybrałem się wreszcie z rodziną na spacer. Zabraliśmy koc, podwieczorek w torbie i hajda nad rzekę. „Pogoda jak ta lala". Tych kilka godzin niedzielnych na łonie rodziny i natury ma mi wystarczyć na cały tydzień.

Wieczorem, gdy już bractwo nasze śpi, przeglądamy z żoną całotygodniową porcję prasy, czytamy lub spieramy się zawzięcie. O co? O cóż może spierać się małżeństwo, jeśli i on i ona pracują w tej samej profesji? Szkoła, najważniejsze wydarzenia tygodnia w mojej i żony szkole są przez nas komentowane bezkompromisowo, proponujemy rozwiązania, zaperzamy się na siebie i godzimy.

A już za kilka niespełna godzin nowy pracowity tydzień.

18.V. Poniedziałek. Wreszcie będzie koniec tym nieskończonym wycieczkom z lekcji. We wtorek odbędzie się próba generalna sportowców na miejscowym stadionie, a w czwartek wyjazd do stolicy województwa. Będą specjalne pociągi, które odwiozą młodzież ze wszystkich powiatów na miejsce. Przepadam za sportem wyczynowym oraz za masowymi popisami gimnastycznymi, ale wszystko niech ma swoje granice. Już od co najmniej 6 tygodni nie ma jednego dnia, żeby któryś z nauczycieli nie stracił przynajmniej jednej lekcji. Dla postronnego obserwatora to jest nawet wesołe. Młodzież cieszy się, że lekcje przepadają. Nie tak znowu dawno sami byliśmy uczniami i znamy te nastroje, gdy nie ma nauczyciela, albo z innych przyczyn lekcja się nie odbędzie. Wyobraźmy sobie jednak, że na miejscu tych uczniów i nauczyciela jest górnik, który na przestrzeni 4 dni traci np. 25 roboczogodzin. Przede wszystkim odbiłoby się to na ogólnym planie kopalni. A gdyby tych górników opuszczających zajęcia na przodku było więcej? Ale pokutuje jeszcze przekonanie, że szkoła to nie zakład produkcyjny. Tu nie produkuje się namacalnie wymiernych jednostek. I dlatego mało kto się oburza na to. A władze szkolne przy wizytacji zwracają przede wszystkim uwagę na to, czy program nauczania został zrealizowany. A jak tu zrealizować program, gdy tyle godzin przepada?

Kiedyś wizytator zarzucił mi taką usterkę. Na opracowanie opowiadania Sienkiewicza „Sachem" w klasie I przeznaczyłem 3 godziny lekcyjne. Wskutek tego, że przepadło mi w tym okresie kilka lekcji — nie z mojej zresztą winy — musiałem zmieścić się z tym tematem w 2 lekcjach. Takich usterek stwierdzono 4. W obronie własnej tłumaczyłem wizytującemu, co spowodowało, że musiałem się „ścisnąć" w czasie. „Panie", powiedział, „uczy pan już dziewięć lat, a jeszcze nie umie należycie zaplanować rozkładu materiału. Takie rzeczy trzeba umieć przewidzieć (!)".

Nie czując się jeszcze pokonany tego rodzaju argumentacją, w dalszym ciągu starałem się (nadal tylko w obronie własnej) bronić przed postawionym mi zarzutem.

Rezultat? Po wizytacji powtarza mi dyrektor, że wizytator odkrył u mnie wiele arogancji. A to wszystko tylko dlatego, że broniłem się i nie chciałem zgodzić się z oceną wizytatora. Tak, tak... Nie każdy wizytator chce i potrafi zgodzić się z faktem, że się mylił. Jego wyroki są ferowane bez omyłki. On się nie może mylić, a próba obrony delikwenta może mieć dla tego ostatniego fatalne skutki.

19.V. Wtorek. Przyszła do żony z opuchniętymi od płaczu oczyma i opowiada, w czym rzecz. Uczy języka rosyjskiego. Pod koniec trzeciego okresu wypadło jej dać dwie oceny niedostateczne w jednej z klas. Uzgodniła oceny z wychowawczynią tejże klasy i okazało się, że i tamta ze swego przedmiotu tym samym uczniom też daje „dwójki". Nim doszło do konferencji klasyfikacyjnej, matematyczka spuściła z tonu i zrezygnowała z dania ocen ndst w tej klasie. Rusycystka była bardziej bezwzględna.

Fakt powyższy jeszcze w tym samym dniu stał się wiadomy tacie jednego z „pokrzywdzonych" uczniów. Tata ów — to w naszym grodzie bardzo wpływowa persona. Wiadome stało się, że poruszy niebo i ziemię, ażeby nauczycielka wycofała swoją decyzję.

Prawdopodobnie ZNP, Inspektorat tudzież KP będą już jutro wiedziały o wszystkim.

Wprawdzie wiele zdziałano ostatnio w tym kierunku, ażeby nauczyciel miał wolną rękę w ocenianiu uczniów, ażeby nie było próby nacisku ze strony czynników administracyjnych tudzież politycznych na „ustawianie" ocen — ale to chyba jest możliwe do zrealizowania tylko w Warszawie, może i w województwie. W takim Bardzo Małym Miasteczku rzecz taka jest na porządku dziennym.

Właśnie przed chwilą opowiadała, że otrzymała już telefon od ojca wymienionego chłopca. „Ja pani pokażę".

Nie, w ten sposób nie wyraził się, ale sens jego słów da się właśnie do tego sprowadzić.

A matematyczka jest czysta jak łza. Miała nosa! Pewnie jej się tata ucznia dał nieraz we znaki, wolała więc nie zaczynać. A że nie uprzedziła młodszej koleżanki o konsekwencjach? No cóż, młoda jest, niech się uczy od zarania trudnej sztuki życia.

Dopiero dzisiaj zdołałem widzieć się i porozmawiać z sekretarzem i przewodniczącym RN. Obiecali interweniować w województwie w sprawie dalszych kredytów na naprawę

(Dokończenie na str. 7)

Autor „Pamiętnika znalezionego w makulaturze", Kazimierz Gorzwski, rozpoczął pracę jako kierownik internatu w Technikum Przemysłu Naftowego w Krośnie, gdzie jest obecnie nauczycielem języka polskiego. Równocześnie studiuje polonistykę na wydziale zaocznym WSP w Krakowie. Rozpoczyna zarazem studia doktoranckie z zakresu metodyki nauczania języka polskiego w szkolnictwie zawodowym. Górawski jest zapalonym regionalistą. Przygotował do druku prace: „Historia nazw miejscowych powiatu krośnieńskiego", „Poezja ludowa w Krośnieńskiem" i „Krosno w literaturze pięknej". Publikuje artykuły na temat życia kulturalnego Ziemi Krośnieńskiej i o pracy nauczycieli — w „Wychowaniu", „Tygodniku Kulturalnym", „Szkole Zawodowej", „Głosie Nauczycielskim", „Rodzinie i Szkole". Niedawno otrzymał II nagrodę czasopisma „Kultura i życie" za pracę pt. „Jak wychowuję kulturalnego człowieka".

Nie samym chlebem

(Dokończenie ze str. 1)

podziwiać ofiarność białostockiej palestry — znalazła słowa krytyki.

— A po mojemu źle, że ciągle zmieniają adwokatów. Co tydzień inny w Poradni przyjmuje. Ledwo jednemu wyłożysz co i jak, już następnemu powtarzaj. W zeszłym roku lepiej bywało — całe trzy miesiące jeden urzędował...

— Która z pań pierwsza?

W tej sprawie nie było żadnej wątpliwości. To nic, że obie staruszki wysiedziały się tu szmat czasu — pierwsza musiała wyłożyć swoją krzywdę niewidoma. To nic, że każdą z nich poszargał ponad miarę los — pozbawione opieki, rodziny, środków na życie — zawsze jednak były bogatsze od tej z białą laską. One... widziały.

Kiedy niewidoma ostrożnie, powoli znikała za drzwiami, podjęły na nowo pogaduszki. Tylko już szeptem — by tamtym — za ścianą nie przeszkadzać...

— Ot nieszczęście.

— Pewnie, moja pani. W wiecznym mroku. Kaleka...

I zaraz narasta zagadnienie. Poradzi sobie ten „nowy" adwokat ze sprawą ślepej, czy nie poradzi? Jak myślicie, kobietki?

Właśnie tu w Lidze Kobiet niewidoma dowiedziała się, że właściwie wcale nie jest mężatką. Tylko na wsi mogło się przydarzyć coś podobnego! Dziesięć lat uważać się za mężatkę, a z małżeństwa jak na pośmiewisko — wyszło dwoje dzieci, ale panieńskich.

— Nie gadaj pani. Nie tylko wsiowej, ale i miastowej pannie się taka rzecz przytrafi. Cóż dziwnego. Matka jej, kobieta nabożna, pilnowała tylko i parła do ślubu w kościele — żeby po bożemu żyli... O to zapisanie się w Urzędzie mało dbała. Ani nawet przypuszczała, że życie i dalsze lata cały porządek wywrócą na opak, że właśnie to „zapisanie" daje prawo mężatki i nazwisko ojcowe dzieciom. Skąd zresztą taka matka jedna i druga, piąta i dziesiąta ma wiedzieć?

— Ale ksiądz co ślub dawał — wiedział. Powinien uprzedzić.

— Ale nie uczynił tego. Widać swój zamysł taki miał...

Milkną i zamyślają się ponuro. Może sprawa niewidomej znajduje jakieś odbicie i w ich własnym życiu. Dotychczas byłam tylko niemym świadkiem, teraz próbuję wtrącić się do rozmowy. Początkowo odpowiadają mi niechętnie. Widać — czują we mnie kogoś obcego — nie związanego z Poradnią i wszelkimi trudnościami, które tu za pomocą prawa mozołem starają się rozsupływać. Później, gdy rzucam pytanie, czy Liga Kobiet nie organizuje prelekcji na temat kodeksu rodzinnego — ożywiają się stopniowo. Okazuje się, że owszem odczyty, pogadanki są, ale kobiety chodzą na nie niechętnie.

— Dlaczego?

— Ba — śmieją się gorzko petentki z Poradni. Czy syty przy pełnej misie myśli w ogóle o tym, że nadejdą czasy głodu? Nawet nie przystoi, by kobieta mająca swój dom, swego męża, swoje dzieci przysłuchiwała się tutaj gadaninie o jakichś tam prawach i obowiązkach w małżeństwie.

— Tak i ze mną było — wzdycha ciężko kobieta w średnim wieku. — Przez trzydzieści lat żyliśmy z mężem nie przymierzając jak ta para gołąbków. Ja dla niego nawet z rodziną się poróżniłam, bo niechętni mu byli. Zapomniałam o rodzicach, o braciach, mąż mi cały świat przesłonił. Dobry był. Gdy z pracy wracał, już przez drzwi wołał: „Manieczka, jesteś?". Dorabialiśmy się razem. On pracował w swoim zakładzie, ja w domu. Dziesięć razy obróciłam złotówkę, zanim ją wydałam. W końcu doczekaliśmy się domku, niedużego — dwa pokoje z kuchnią, ale własnego.

A kiedy przeżyliśmy tak się szanując przeszło trzy dziesiątki lat — oszalał na starość. Z młodą chce się teraz żenić, mnie z mieszkania wyrzuca, krzyczy: „Mój dom, na moje nazwisko zapisane..."

Zebrane w Poradni kobiety spoglądają na siebie ze zgrozą. Obie babcie są wstrząśnięte. — „Jak to! Nawet mecenas z Ligi nie poradził przeciwko takiemu bezeceństwu?"

Niby poradził. Już wytłumaczył czarno na białym chłopu, że mieszkanie jest wspólne, małżeńskie. Gdy małżeństwo się rozpada, połowa dobytku należy do żony, bo ona choć przy garnkach, ale też na nie pracowała. Owszem — nie można powiedzieć — mąż dał się przekonać. Teraz ona w jednym pokoju, on w drugim. Z głodu także nie zemrze — gotowała mężowi, może teraz kucharzyć obcym — jeszcze zapłacą, podziękują...

— Więc czego pani szuka jeszcze w Poradni, pani Gołębiowska?

Kobieta nerwowo wyłamuje palce — aż stawy trzeszczą. Żeby on był człowiekiem, żeby wyjechał do innego miasta. Ale on chce zostać, na tej samej ulicy Antoniukowskiej, przy której oni razem tyle, tyle lat. Co więcej, sprowadza do swojej części mieszkania tę... młodą. Jakie będzie jej życie? Tak dzień w dzień na nich patrzeć...

Drzwi się otwierają. „Następną z pań poproszę".

Niewidoma sunie przez pokój powoli. W ręku arkusz papieru. Adwokat napisał pozew do sądu o ustalenie ojca jej dwojga dzieci, które niestety w myśl przepisów uchodzą za nieślubne. Inaczej nie sposób zmusić eksmęża do płacenia alimentów. Na szczęście Milicja Obywatelska ustaliła już jego adres i miejsce pracy na Ziemiach Zachodnich.

Miejsce niewidomej w gabinecie zajmuje teraz pani z ulicy Antoniukowskiej.

— Ja swoje już odchowałam mówi białowłosa babcia — pięcioro, ale został mi wnuczek po najmłodszej. Siedemnastolatek.

— A córka nie żyje?

Broń Boże. Żyje. Ale w więzieniu. Posadzili za „niewinność". Chcę się wtrącić, że wspomniana cnota w naszym ustawodawstwie nie podlega karaniu, ale głos babci brzmi z taką pewnością, że daję spokój. Cóż, — różne bywają widać „niewinności"...

Ale wnuk już dorosły, może pani pomóc.

Siwowłosa babcia uśmiecha się z rozczuleniem. On nie może. On chory na głowę. Kiedy z nim grzecznie, łagodnie, dobry jak aniołek. Ale gdy dzieciaki z sąsiedztwa podrażnią, krzyczą: „głupi Jacek z pierogami" — wpada w szał. Pianę ma wtedy na ustach. Nikt tak z nim nie potrafi jak babka. Powie — wnusiu — a chłopiec łagodnieje jak baranek.

— Ależ żyć, żyć potrzeba.

Są dobrzy ludzie. Panny z poczty i z innych urzędów dają stare łaszki. Nie ma takiej starej szmaty, której by u nas na Bojarach czy na Piaskach nie szło sprzedać. Wystarczy szepnąć magiczne słowo — zagraniczne. Zagraniczny ciuch!

— A pozostała czwórka dzieci? Nie pomaga babci? — Każdy ma swoje obowiązki, swoje kłopoty. Najgorzej, że matki nie uszanują. Z tą skargą przyszła do Poradni — do pana mecenasa. Jedna z córek słabowała i prosiła matkę o zakupienie jarzyn na rynku. Matka nie umiała dziecku, córce odmówić. Przytaskała z Rynku Siennego dwie główki kapusty jak baranie łby, selery, pory, marchwi, pietruszki — słowem majątku za całe piętnaście złotych. Zięć sprawunek przyjął, ale gdy napomknęła o zapłacie, wyrzucił za drzwi i jeszcze brzydko wyzwał. Od takich i siakich, aż wstyd powtórzyć. A za piętnaście złotych mogłaby babcia z wnusiem cały dzień jakoś przepędzić. Więc teraz szuka sprawiedliwości. W sądzie.

Lament siwowłosej trafił do serca najstarszej kobiety. Po raz pierwszy odezwała się tego popołudnia.

— Oj dzieci, dzieci. Nie masz — źle, boli serce. Masz — boli serce jeszcze bardziej.

— Panią też zaniedbuje córka, czy syn?

— Syn, albo i nie syn. Za wdowca za mąż ja poszła, — a on wtedy roczku nie miał. Do mnie rączyny wyciągał, do mnie „mama" gaworzył. Ja przy nim nocki nie spała, ja się męczyła, ja go piastowała. On dorósł, ja się zestarzała. No i wyrzucił z chaty. „Każe" — ona macocha, nie rodzona.

Westchnęły wszystkie naraz i wdały się w spór, czy kobieta bezdzietna może pokochać cudze dziecko jak własne. Czasami „dyskusja" przybierała tak na sile, że zapominały o sąsiedztwie gabinetu prawnika. Wtedy dawało się słyszeć lekkie pukanie w ścianę i gadatliwe grono przycichało. Ale tylko na moment. Jedynie macocha wyrodnego pasierba najmniejszy udział brała w ożywionej rozmowie. Wpatrzona w drzwi modlitewnie — niby w cerkiewne złote wrota — powtarzała cichutko jako najważniejszy argument: „Ja go wychowała, ja nocki przy nim nie spała..."

Czas płynął. Po kolei znikały w pokoju prawnika. Rzecz charakterystyczna — te wracające nie opuszczały poczekalni. Widać jeszcze chciały wspólnie przegadać to, co usłyszały z ust adwokata. Już i babulka od złego pasierba usłyszała swoją radę, już i sam adwokat zabierał się do odejścia. Kiedy wkładał palto, podziękowały mu raz jeszcze za starania. Był wyraźnie zmęczony urzędowaniem — mówił z trudem, z ogromną chrypą. Zapinając guziki, zwrócił się jeszcze raz do najstarszych wiekiem kobiet. Do siwowłosej w czarnej chustce powiedział:

— Proszę się namyślić. W przyszły wtorek jak zwykle Poradnia znowu czynna. Poinformuję mojego kolegę — następcę o pani sytuacji. Kolega ten wystąpi z pozwem do sądu...

Już na progu obrzucił współczującym spojrzeniem tę najstarszą... „Głowa do góry — powiedział. — Przecież najważniejsze, że w końcu otrzyma pani stałą miesięczną zapomogę".

Wyszedł. Rozgadały się wtedy na dobre. Właściwie zadowolona nie była żadna. Choć co prawda — to prawda, ten mecenas tak samo, jak inni z tej Poradni, starał się jak tylko mógł... Więc na przykład chorowita kobieta z dwojgiem dzieci dziś właśnie dowiedziała się, że sąd przyznał jej większe alimenty. „Sto złotych więcej miesięcznie piechotą nie chodzi, moja pani. Czy zreperować buciki, czy mleka kupić — będzie jak znalazł... Tylko kiedy komornik ściągnie tę sumę od tego łobuza" — zafrasowała się serdecznie z szacunkiem oglądając papier. — „Jak się dowie o postanowieniu sądu, gotów razem z tą swoją „nową" potrajtać się w inne strony. Już tak bywało..." — dodała i zapytała się kobiety z ulicy Antoniukowskiej:

— A pani czego się pocieszającego dowiedziała?

— Niczego — z ciężkim westchnieniem wyznała zapytana. — On postępuje według prawa. Po seperacji może sprowadzić do swego pokoju kogo chce i żyć z kim chce. Wolność osobista obywatela, powiada mecenas. Na oczach ludzi, sąsiadów — tej samej ulicy. Nie, nie ma paragrafu, który by nakazywał mężczyźnie uszanować ból kobiecego serca.

— A z panią jak? — Popatrzały na siwowłosą babcię w czarnej chusteczce. Ta sapnęła z wyraźną dezaprobatą.

— I — gadać nie warto. Mądry człowiek, kształcony człowiek, ale matczynej miłości nie wyrozumie. Ja do niego o te piętnaście złotych, co zięć nie zapłacił, a on radzi wystąpić o alimenty od córki. Od córki... Mówi, że z tymi jarzynami to niepoważna sprawa. Niepoważna! A cały dzień mogłabym przeżyć z wnusiem.

— Wystąpi pani o alimenty? — zapytałam.

— I... jeszcze się zastanowię. Dawałam sobie dotąd jakoś radę, nie zginę z chłopaczkiem. Są dobrzy ludzie jeszcze na świecie...

— A pani — zwróciłam się do najstarszej kobiety — otrzyma jednak zapomogę. Adwokat wychodząc mówił...

Przerwała dramatycznym gestem. Chwyciła się obydwiema rękami za głowę. Zawodziła jakimś skowytem już nie ludzkim, ale psim...

— Ale nie od pasierba. Będzie mi płacił Wydział. Ten od Opieki Społecznej. On — nie. W sądzie powiedzieli — pasierb nie ma obowiązku opiekować się starym ojczymem, czy macochą. Takie prawo, takie przepisy.

— No — no — wydziwiały się wspólnie opuszczając wreszcie poczekalnię. Jeden z wtorków Poradni Prawno-Społecznej Ligi Kobiet miał się ku końcowi. Ostatnia opuszczała pomieszczenie najstarsza z kobiet. Jeszcze w korytarzu słyszałam jej szept — bezradny, żałosny, protestujący: „Ja go wychowywała, ja przy nim nocki nie spała, ja go piastowała..."

Hanna Muszyńska Hoffmanowa

PAMIĘTNIK ZNALEZIONY W MAKULATURZE

(Dokończenie ze str. 6)

nowo wybudowanego mostu. Równocześnie sprawą zajmie się wreszcie prokurator i rzeczoznawcy, którzy stwierdzą, kto jest tu właściwie winien, że nowy most w miesiąc po oddaniu do użytku ni stąd, ni zowąd wali się.

Dziś lekcję poświęconą Modrzewskiemu dzięki moim chłopcom udało mi się uwspółcześnić. Mam zwyczaj żądać od chłopców pytań na tematy ich interesujące. Pytania te składają uczniowie zawsze przed lekcją na stole (anonimowe karteczki). Dziś otrzymałem pytania dotyczące soboru w Rzymie, soboru, który już niedługo rozpocznie swoje obrady. Te pytania postanowiłem szerzej omówić na lekcji wychowawczej, a na razie sięgnąłem do posiadanych w bibliotece szkolnej zszywek „Argumentów" i „Faktów i Myśli" oraz do „Kalendarza Wolnej Myśli". Odczytaliśmy w klasie fragmenty kilku ciekawszych artykułów na temat Modrzewskiego. Okazało się, że ten Modrzewski „to był wcale nie głupi facet" — tak brzmiałaby konkluzja moich chłopców wyrażona ich językiem. Na marginesie lekcji, w związku z tym, że omawialiśmy stosunek F. Modrzewskiego do wojen, W. P. sprytnie zauważył co następuje: „Panie psorze, to właściwie Lenin nic nowego nie wymyślił dzieląc wojny na sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Przecież, jak widzimy, to samo uczynił już około 400 lat temu nasz Modrzewski".

Tak chłopcze. Lenin rzeczywiście nic nowego nie wymyślił. On tylko sformułował wyraźnie to, o czym ludzie już od wieków wiedzieli, ale jakoś nie umieli sobie poradzić z tym, co wiedzieli. No i przede wszystkim teoretyczne sformułowanie teorii wojen przez Lenina stało się uogólnieniem wielowiekowej praktyki. Lenin nauczył nas, jakie wnioski z tej teorii należy wyciągnąć.

20.V. Środa. Rzadko bywam w teatrze. Mam szczęście mieszkać w tzw. Polsce „B", gdzie teatr jest deserem konsumowanym z nabożeństwem przez nielicznych szczęśliwców, którym uda się dostać bilety wstępu.

Muszę przyznać, że nie mam słów uznania dla Teatru W. Siemaszkowej z Rzeszowa, który dociera do nas kilka razy w roku. Sposób interpretacji tekstu, gra aktorska, a przede wszystkim stosunek do widza, zasługuje na szczególne uznanie.

Widziałem kilka lat temu „Wesele" Wyspiańskiego w wykonaniu artystów Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie i jakoś w tym samym miesiącu tę samą sztukę w wykonaniu Rzeszowa. Niebo i ziemia! I to nie tylko moje osobiste zdanie. Zmanierowani artyści krakowscy dali pokaz nonszalanckiego stosunku do widza, podczas gdy w tej samej sztuce w wykonaniu Rzeszowa czułem, jak rzadko kiedy, wżycie się aktora w rolę, o co tak przecież trudno, a co jest chyba bardzo istotne w rzemiośle aktorskim.

Podobnie rzecz miała się z „Balladyną", „Indykiem", „Pierwszym dniem wolności", „Śmiercią komiwojażera", „Wojną i pokojem" czy też z „Walką kobiet".

I dziwią mnie recenzje co niektórych felietonistów „Życia Literackiego" zarzucające teatrowi rzeszowskiemu brak ambicji. Przecież teatr ten spełnia rolę popularyzatora, a zestaw wymienionych chociażby wyżej tytułów spektakli świadczy najlepiej o tym, że misję swoją spełnia z rozmachem, czerpiąc w miarę swych skromnych możliwości — w prównaniu z możliwościami środowiska krakowskiego — przy 25(!)-osobowej obsadzie (trzy zespoły!) z repertuaru, jakiego nie powstydziłby się żaden z najbardziej nawet się szanujących teatrów centralnych.

Już po strachu. Złotówka odnalazła się. Wcale jej Jola nie połknęła, jak myślała babcia. Pieniążek pokatulał się pod kredens. Natomiast...

*

Na tym urywa się pamiętnik znaleziony w makulaturze. Człowiek spisujący pieczołowicie swoje szare godziny codziennego żywota belferskiego nie zdołał dokończyć tego, co chciał powiedzieć o swym prywatnym życiu.

W sześciu przeciętnych dniach znalazło się miejsce na zrelacjonowanie wielu spraw związanych z pracą zawodową i społeczną, jednakże jakby dla ironii z jakichś tam powodów nie zdążył zanotować drobnego szczegółu z życia osobistego. To coś tak jak w życiu.

Chwileczkę, a czy ten pamiętnik to nie życie?

PROFILE

VIOLETTA SZORC

Lekcja geometrii

Na prędce sklecone schematy logiczne
— masyw trójkąta
— zwalistość koła
funkcja wymierna przedłużona na dwa systemy.

Rozlokować wykresy, sumą zrównane do zera —
(ale jak związać wstążki dziewczęcych warkoczy?)

Wpisano koło w trójkąt równoboczny:
w zielony namiot — kiedy pośpiech nocy
wtoczyć jedną kroplę radości
śniegiem tarzaną aż do objętości
na pograniczu,
utwierdzić w bryłach wodę i gorycz mijania.

Przed lekcją historii

Plączą się daty a ludzka omylność
klęski zadaje i triumfy święci

Festyn o błahych zdarzeniach otwarto
bo najpierw umarł, potem się narodził
naród utopił we łzach swojej żony

(jeśli to była żona)
nawet kelnerem był
[przez trzy miesiące
u Borgiów służył
tam bardzo zmieniony umarł

rodził się pijany
alkoholem z żył matki
a wino podłe
co o gatunek nie dba rodząc rasę —

kalecząc siebie w dniach, latach,
bitwach, pokojach, przymierzach
żyje tak wartko i tak mało
jakby się bał dotknąć podręcznika.

KRYSTYNA MAKUŁA

*

* *

nie było ciebie tak boleśnie
w przegubach nadziei
blask układałam w szyny
pruskim błękitem
proszę wejść w różę przydrożną
by kolce oszczędziły skórę
weszłam za biała po ruchliwe
rzęsy nie dopinając zbyt stromych
kolorów
widziałam wielkie planetoidy pyłu
niebo ogromne w powroty i gwiazdy
czuje się wtedy skapywanie czasu
do rozpulchnionej pęczniejącej
[czaszki
mówiłam długo do zapachu róży
moment wybrawszy nieprzyrównywany
osłaniam powrót twój
słowem którego nie znałeś
przed oczkami jaszczurek
torturowanym czasem
bo nie było ciebie boleśnie
w początku róży.

RYSZARD KORNACKI

Rachunek niedokończony

Wysmukłe
jak pacierz
do wysokości spojrzenia
zostały poza mną
lata
dobre i niedobre
jak ręce.
Ściśnięte do pionu
spłaszczone do poziomu
czekają na mnie
lata
dobre i niedobre
jak ręce.
Dlaczego ściskasz mi dłońmi
oczy.

Chochoły

Wojciechowi Siemionowi — twórcy „Wieży Malowanej"

Na kosmate szczęki
spuszczono zasieki
bo słomiane listy
wysłano przed wiekiem.
Ukręcono nogi
z pokrzyw jadowitych
skakały zielono
z chrobotem i zgrzytem.
Rozsypano wszędzie
rudo-rdzawe plamy
niebieską pamięcią
płotek zamykany —
błękitem.

ELŻBIETA OLSZEWSKA

Mojemu miastu

Szarymi w odejście ulicami
kwitnie jesień
w mieście ze wzgórzami;
zielonymi, zielonymi
zżółkły
nadziejami
ulice, wzgórze
uczuciami
kwiaty pękają na drzewach
w muzyce ich
gdy spadały
wzgórza, wzgórza
pachną
ogniskami — dymy ogonami zamiatają:
wzgórza,
ulice, drzewa...

Smutek

Jesteś duży jak ulice
które liczysz
astrowymi oczami
i jak zwątpienie
co z melancholią w klapie
wychodzi na spotkanie,
a czoło masz nieba,
a palce — szynami
i na deszcz — płaczą.

RING WOLNY czyli bierz skąd możesz

Rada Okręgowa ZSP w Szczecinie zakupiła dla Studenckiego Teatrzyku „Skrzat" od znanego literata szczecińskiego, Ryszarda Liskowackiego — utwór pt. „Ring wolny". Tekst ten wystawiany był przez „Skrzata" w 1961 r. Znajduje się tam następujący fragment:

Chór A:

Pełganie lampek na grobach
huk miasta
czy serca łomot
pełza po listku robak
nie szuka ojca
ni domu
Krzyże
anioły
kolumny
kwiaty
łańcuchy kolczaste
Jak dobrze, że nie ma was w mieście
jak dobrze żeście za miastem.

Fragment ten pochodzi z poematu Bohdana Drozdowskiego pt. „Moja Polska", wydrukowanego w tomie „Południe i cień" (Wyd. Literackie, Kraków 1960 r.).

Wydaje się, że sprzedawanie cudzych utworów za tzw. „żywą gotówkę" nie jest „fair" w stosunku do prawa autorskiego, o czym p. R. Liskowacki, członek ZLP, powinien być dobrze poinformowany.

Antoni Januchta
Szczecin

DECYZJA

WITOLD JUREK

SPOTKALI się na głównej ulicy. Było jeszcze wcześnie. Przedpołudnie. Około jedenastej.

— Jak? — spytał niski.

Miał ciemne włosy, szerokie spodnie, był w marynarce, bez krawatu, koszulę pod szyją miał rozpiętą.

— Z czym? — spytał zagadnięty.

— Z wszystkim — powiedział tamten. Wyjął papierosy. Wyglądał na dwadzieścia jeden lat. Mógł mieć więcej.

— Zapalisz?

— Jasne.

Zapalili.

— To jak? — spytał znowu niski. — Miałeś wyjechać. Jedziesz?

Patrzył uważnie w twarz tamtego, zdradzał napięcie.

Tamten zwlekał chwilę z odpowiedzią, nie patrzył na niskiego. Czuł się głupio. Wreszcie powiedział:

— Nie. Nie jadę.

— Ja też nie.

Twarz niskiego wyrażała ulgę. Tamten spojrzał na niego szybko.

— Nie jedziesz?

— Nie.

— A mówiłeś.

— Rozmyśliłem się.

Niski odzyskał spokój. Opuściła go niepewność.

— Tak jest zawsze — powiedział ze złością wyższy. — Człowiek się rozmyśla. Niech to szlag trafi. Bez powodu. Nigdy nie ma powodu. I nie jedziesz. Albo nie robisz tego, co miałeś robić. Tak jest zawsze. — Nie opuszczało go rozdrażnienie. — Nic się nie robi. Stoi się i patrzy. Czeka. Na co?

— Mam to w d... — powiedział niski. — Już się przestał przejmować. Już mu przeszło. Bo cóż, u diabła, się stało? Nie wyjechali — to wszystko. Może wyjadą jutro. A może w ogóle nie wyjadą. Może urodzili się po to, żeby tu żyć. Ostatecznie ktoś musi chodzić uliczkami tych małych, zasranych miasteczek. Bał się tylko jednego: samotności. Tak. Tego bał się na pewno. I może jeszcze podjęcia jakiejś decyzji. Tylko tych dwóch rzeczy. Ale nie zostanie sam. Zostaną we dwóch. Nie miał innych poglądów. Nie miał w ogóle nic.

— To jak?

— Z czym?

— Robimy coś?

— Co?

— Flachę.

— We dwóch?

— Źle?

— Może być. Masz forsę?

— Trochę.

— Ja też.

— Wystarczy — powiedział niski. — Wystarczy na pewno. Nie trzeba dużo...

Chmurzyło się.

WUJEK THIEL

BARBARA NOWOROLSKA

SIEDZIAŁAM na progu i patrzyłam jak gazda struga szlajsy — to takie kromki drzewa do rozpałki. Więc patrzyłam, jak on je kroi i też wzięłam nóż, ale mnie takie cienkie, co to aż przez nie patrzeć, nie wychodziły. A jak już zaczęłam kroić, to sobie pomyślałam, że nie ma jeszcze wujka Thiela. To wcale nie był mój wujek, ale mieszkał przez ścianę i dawał mi cukierki i pozwalał jeździć na psie. A teraz pies skamlał i mama go wypuściła i dała mleka i pocałowała. Mnie nigdy nie całuje. Ona zawsze przed obcymi się mną chwali, ale naprawdę to mnie nie lubi, to po co się chwali. A potem kazała mi iść spać, więc o nic już nie pytałam.

A jak się obudziłam, był wszędzie krzyk i tacy w czarnych mundurach kazali się ubierać i prowadzili do tego budynku przy szosie na górce. Było mi zimno, bo mamie wszystko leciało z rąk, więc dała mi tylko płaszczyk, a jak zaczęłam szukać rękawic, to już mnie wyrzucili, a przecież było jeszcze szaro, nawet Krasula nie ryczała i śniegu napadało dużo. A potem czekaliśmy długo w takim pokoju bez okien. W końcu wzięli mamę i mnie do drugiego pokoju i tam był ten Niemiec ze złamaną ręką, co przychodził pytać się o wujka Thiela i taki drugi młody. Ten młody krzyczał, że nas rozstrzelają. Mama nawet nie płakała, tylko ręce jej drżały i oczy miała takie duże, a jak przytuliłam się do jej futerka, to pogłaskała mnie po głowie i wtedy się rozpłakałam, bo była taka dobra i tak dawno mnie nie tuliła. A kiedy ten młody Niemiec wyszedł, to ten co miał złamaną rękę pogłaskał mamę i mnie i tak się dziwnie uśmiechnął, zupełnie jak wujek Thiel, i kazał nam iść do domu.

Była już noc i tyle gwiazd i przytuliłam się do mamy. Wtedy spytałam o wujka.

— Niemcy go rozstrzelali.

— Przecież on też był Niemcem!

— Nie, on był Austriakiem i chciał wrócić do siebie i wtedy go złapali.

Potem długo nie mogłam zasnąć. Mama mówiła, że się wybiłam ze snu, a ja myślałam, że ten Niemiec co nas wypuścił, miał taki uśmiech, jak Thiel i był taki dobry jak on, więc też mógłby być moim wujkiem, ale jak go kazał rozstrzelać, to już teraz chyba nie może być moim wujkiem.

PONIDZIE

LITERACKA GRUPA MŁODYCH ZIEMI KIELECKIEJ

ADA KOPCIŃSKA

Ja—materiał

Schody
te mnie prowadzą nie tylko w salony
prędzej żądna chcę odkryć
pień na którym
szyja
Bliżej ostrze gdy tępe przykładam
gdzie krzemień
i to syci mnie teraz.

Tu w brzydocie tapety
którą śledź obgryza po wyżerce
pięknieje i srebrząc się bardziej
widzę rękę kobiety
każdy palec
dołek
widzę włosy serwetą na krawędzi
lustra
W lustrze czaszka skrobana tępym
wzroku nożem
i natychmiast lęk jakiś
[i dotknięcie ciała
jeszcze wyprysk i ranka na wardze
się krwawi
— życie...

To co brzydkie
nie zawsze woń posiada gada
a im dłużej tam patrzeć
ciepło jest i linia
doskonała aż w przesyt
i to jeszcze mało
Czaszka czaszką zostanie
śledź w bieli obrusa
nie jest wcale złą plamą
[i choć się nie rusza
ważny dla mnie bo ciągle
[graniczy z ołtarzem
zębów potem żołądka
— rozcinam ten konflikt
czy oddzielać potrzeba stale pot
od ciała
połączenie jest sztuką na którą
[zezwala
pióro.

To co ludzkie jest piękne chociaż
cofasz rękę
nie zaprzeczaj
— bo wierzysz choć się wściekle
[miotasz
człowiek
ciało
i popiół
róża na popiele
piękno — lęk — czy brzydota?

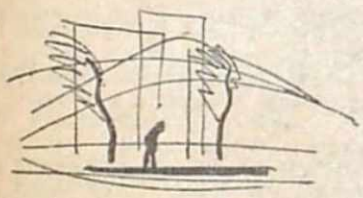

ANDRZEJ ZATORSKI

Konspiracja

Najpierw — zawieszenie wieku,
bo jeszcze nie dorośli, ale
[już nie dzieci
To była konieczność chwili.
Potem — studium instynktu,
kształtowanie wyglądu na wzór
[otoczenia
— rzecz wcale niebłaha —
bo szczerząc zęby szarozielony ogar
może cię ułapić.
Teraz — powrót do rzutu kamieniem
lecz zamiast kamienia
żłobiona twardość metalu,
mrużenie oka,
pieszczota policzka o gładź drzewa.
I jeszcze nie wszystko —
Więc czarne prawdy na białym
[papierze
zaścielają jak gwiazdy asfalt nocy.
Lekcje arytmetyki zabijania ludzi
i sztandar nierozwiniętego ciała
pod prucie ołowiu.
A czas —
policzek wymierzy dokładnością
[jutra.
Na ulicy Zwycięstwo
spotyka się niebyła młodość
i stracone dzieciństwo,
zaciskając pięści
na nadmiar nocy i głodu.

HENRYK JACHIMOWSKI

próba rozmowy

co ja o tobie napiszę
ziemio legend jaka jesteś
skóra twoja pofałdowana czym jest
Nida Wisła twoja
płynie do Wisły płynie
jak
wrony mewy twoje kołują
jakie są jodły twoje łąki
czy to zielone koce
góry twoje czym są
wapnem nie są pola
do czego porównam
piasek twój sypki ziemio
nikt już o tobie nie napisze
dobrego wiersza

RYSZARD FATYGA

Kobiałka

Z dnia na dzień
z uśmiechów
jak cięcie brzytwą,
słów
jak chuchanie w okno
ukwiecone styczniem,
pleciemy kobiałkę.
Do niej
orzechów garść z tygodnia
i grape-fruit niedzielny.
Do niej
supełki znaczące
koniec z końcem
i wybielanie twarzy
pszczelim mleczkiem żon.
Wreszcie
palec po palcu
nakłuwają igielki,
że nawet damska torebka ucieka.
Zostaje obrzęk odparzonych dłoni,
zrodzony na świadectwo.

RYSZARD MIERNIK

Spadanie piachu

Kiedyś spadał ziarenkiem
Na rozkwitłe czoło.
Słowo „kiedyś" w dwuszeregu
Kryje słowo „nigdy".
Dziś sypie
Nieustającym deszczem
Spraw miałkich.
Śmieszne jest słowo „dziś".
Kochankowie biorą to
Za szum drzew
Albo
Kląskanie słowików.
Widać go w twarzach
Wydeptanych.
Na klepiskach czaszek,
W dłoniach
Pięciu palców
Bezradnością
Bezradnych.
Przysypuje na wpół żywe
Wspomnienia,
Obdziera z blasków spojrzenie
Twierdząc że kolor
Jest sprawą artystów.
Umieranie
Pod ziarnami piachu
Można nazwać
Klęską
Lub zasypywaniem.

KONSTANTY TARNOWSKI

Papieru należy używać pożytecznie

Zmięte słowa
obsiadły żerdź bezmyślności
jak wygłodniałe wrony
wśród śnieżnej zadymki
czas pustką obżarty
wygrzebuje tłustą łapą
z zanadrza chorowitych marzeń
zapieczone urazy
i karmi krzykliwe chmary
czarnego ptactwa.

...Pachnie wiosną. Śmieszne powiedzenie. Jeśli wiosna pachnie, to należałoby powiedzieć jak. Określić. Inny jest zapach maciejki, a inny bzu. Jeszcze inny skoszonej świeżo trawy. A jednak naprawdę człowiek potrafi czuć zapach wiosny. Ściśle określony, specyficzny, jakiś dziwacznie radosny. I banalny, i zawsze nowy.

Zaciąga chłodem. Wieczór. Czy wolno osłonić szyję kołnierzem płaszcza? Chyba wolno. Alboż to jakaś honorowa warta, czy co? Koledzy jeszcze nie śpią. Za chwilę będą jednak już spali. Są zmęczeni. O której przyjdzie zmiana? Już niedługo. To samotność tylko tak bardzo wydłuża ten czas. Wlecze go przez każdą minutę, przez każde sześćdziesiąt sekund. Najlepiej nie myśleć o samotności.

„Druga brama". Gdy wrócimy do domu, to poszukam tej książki w bibliotece.

...Te psy rozszczekały się jak na komendę. Chyba ze cztery szczeka cienko, piskliwie. Małe szczeniaki. A tamten grubo, jak bas. Ktoś obcy idzie przez wieś. Na swoich tak by nie szczekały zajadle. Kto to może być...? Nasi zdaje się wszyscy wrócili już na kwaterę. Trzeba uważać. Może to...

...Trafili, na pewno, dwa razy trafili. Boli tylko z jednej strony. Nasi już strzelają. Gdzie jest mój karabin...? Gdzie jest moja broń...? Ziemia jest wilgotna, chłodna i pachnie wiosną. Dotykam jej policzkiem. Mogę dosięgnąć ustami. Gdzie jest moja broń...? Już nie strzelają. Co się stało? Gdzie jest mój karabin...? Ktoś idzie. Swoi czy wróg? Nasi. Poznaję po głosie. Trzeba krzyknąć, bo mnie nie znajdą. Dlaczego nie mogę krzyknąć? Dobrze, że jest ciemno. Te łzy same lecą. Ja nie płaczę. Ja naprawdę nie płacze Ja nie chcę płakać. Dlaczego oni tak się śpieszą? Dlaczego nie strzelają? Boli. Czyj to głos powiedział słowo „szpital"? W szpitalu jest biało. Lekarze chodzą tam w bieli, siostry mają białe fartuchy. Jedna będzie w zielonym. Będzie podobna do „wiosny". Jak wygląda „wiosna"? Brzoza jest biała i ma zielone listki. Ale jak wygląda „wiosna"? Majaczę chyba. Wszędzie biało. Śnieg, śnieg. Gdzie są moje sanki?!!

Białystok, listopad 1962 rok

LISTOPAD W KWIETNIU

LESZEK KOŻUSZKO

Ciekawe, co byłoby lepsze: czy iść na ten kurs, czy na miejscu chodzić do wieczorówki. Może jednak na kurs. Na miejscu nie będzie czasu na naukę. I służba, i zebranie, albo jakaś akcja. Ale jak pojadę na ten kurs, będą się krzywić. Wybierali, powiedzą, a teraz uciekasz. Powiem, że wrócę. Skończę szkołę i wrócę.

Coraz ciemniej. Sztachety widać jednak wyraźnie. Ciekawe, ile jest tych sztachet w płocie? Raz, dwa, trzy, cztery... Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia osiem. Dlaczego ta liczba wydaje się mi taka jakaś bliska? Zabawne. Przecież urodziłem się w 1928 roku. Co wtedy działo się w kraju, na świecie...? Było już dziesięć lat po pierwszej wojnie. Jedenaście lat po Rewolucji. I co jeszcze? Och!, jak ja niewiele wiem z historii. Wiem chyba coś więcej. Nie chce mi się myśleć. Dlaczego to „dwadzieścia osiem" przyczepiło się do mnie? Dwudziestego ósmego marca zeszłego roku wstąpiłem do ZWM. Właściwie to wcześniej. Zapisali dwudziestego ósmego. Teraz mamy rok czterdziesty ósmy. O, to ja mam już dwadzieścia lat! Że też nigdy nad tym nie zastanawiałem się...

Ciekawe co będzie, kiedy ja będę miał już lat trzydzieści? Co się zmieni, a co pozostanie takie, jakie jest dzisiaj. Jak się nazywa ta wioska? Jakoś tak dziwacznie. Powiat to Wysokie Mazowieckie, ale jak wioska? Zupełnie wypadła mi z pamięci. Czasami tak jest. Człowiek chce coś przypomnieć, na pewno pamięta i nie potrafi. Dziwna jest ta ludzka pamięć. Mogę sobie pomyśleć, że jestem na tej gwieździe. Albo nie, na tamtej. Tamta lepiej świeci. Mogę pomyśleć, że jestem w Japonii i oglądamy pustynię Hiroszimy. Mogę... a tym czasem nie mogę przypomnieć jak nazywa się ta wioska. Przecież wiedziałem. Na pewno wiedziałem.

...Dlaczego żelazo jest zimniejsze od drzewa? Czy tak jest naprawdę, czy to tylko złudzenie? Chyba tak jest naprawdę. Mogę to sprawdzić. Co innego czuję, gdy dotknę do lufy, a co innego, gdy dotknę do kolby. Żelazo jest jednak naprawdę chłodniejsze od drzewa. I bardziej niż drzewo może być gorące. Drzewo potrafi płonąć. Żelazo także. Potrafi także kopcić. „Lepiej płonąć, niż kopcić"... Zaraz, zaraz, w jakiej to książce przeczytałem. A może samo przyszło mi na myśl. Ładne jest to powiedzenie. Bardzo ładne. Nawet dźwięk samego słowa „płonąć" jest jakże piękniejszy od słowa „kopcić".

Trzeba trochę pochodzić, to czas szybciej zleci. Jak cicho. W mieście to zawsze hałas. Nawet szczekania psów w mieście nie słychać. Jak będzie ranek, to będą piały koguty. Ja nie będę słyszał. Zmiana przyjdzie wcześniej. Ale spać mi się nie chce. Zupełnie nie chce. A co mi właściwie się chce? Napiszę książkę pod tytułem: „Dwadzieścia lat mojego życia". Może byłaby nawet ciekawa taka książka? Ech, głupstwo. Moje życie wcale nie było ciekawsze od życia tysięcy moich rówieśników. Każdy potrafiłby napisać taką książkę. Lecz jakże ciekawe jest to, że człowiek może pomyśleć sobie o takich rzeczach, o których nigdy nikomu nie powie. Ta blondynka z warkoczami z Dojlid, nigdy się nie dowie, że właśnie ją po raz pierwszy kochałem. Bo po co? Już dawno mi to przeszło. Co ona teraz robi? Chyba wyjechała, bo nie spotykam jej na ulicy...

Te dwa drzewa wyglądają teraz jak wielkoludy. Między nimi jest brama, wielka brama. Była zdaje się, taka książka „Wielka brama", czy może

Białystok, dnia 23.VI.1948 roku
Do Zarządu Głównego ZWM
w Warszawie

Zarząd Miejski Związku Walki Młodych w Białymstoku przesyła ewidencję członka ZWM, który zginął w dniu 17 kwietnia 1948 roku na posterunku w terenie:

Tadeusz Borowski, urodzony dnia 18 czerwca 1928 roku w Białymstoku; zawód — robotnik, wykształcenie — szkoła powszechna; data wstąpienia do ZWM — 28.III.1947 r.; ostatnio zamieszkały w Białymstoku przy ul. Mickiewicza 51; był przewodniczącym ZWM Dzielnicy nr 1.

Zginął dnia 17 kwietnia 1948 roku około godziny 19 we wsi Koster-Szmiejki, gmina Klukowo, powiat Wysokie Mazowieckie, woj. Białystok. Grupa operacyjna MO spotkała się z bandą. Przy spotkaniu bandyci ostrzelali kolegę Borowskiego stojącego na warcie przy domu, w którym kwaterowała grupa operacyjna MO. Ranili go dwoma strzałami. Ranny w drodze do szpitala zmarł z powodu upływu krwi.

Pogrzeb odbył się w Białymstoku w dniu 21.IV.1948 r. W pogrzebie wzięli udział milicjanci i poczet sztandarowy ZWM. Cześć Jego Pamięci!

V ŁÓDZKA Wiosna Poetów

Grupa Literacka „Prowincja 58" przy Oddziale Stowarzyszenia PAX w Łodzi, ul. Piotrkowska 49 ogłasza

KONKURS OTWARTY

na utwór poetycki o dowolnej tematyce i formie.

W konkursie może wziąć udział każdy poeta, który do chwili ogłoszenia konkursu nie wydał jeszcze pozycji książkowej.

Prace o objętości nie przekraczającej 10 stron maszynopisu powinny być złożone na podany wyżej adres w pięciu egzemplarzach w zalakowanej kopercie, opatrzonej godłem autora. W drugiej kopercie opatrzonej tym samym godłem należy umieścić imię i nazwisko oraz dokładny adres nadsyłającego.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 kwietnia 1963 r. przy czym decyduje data stempla pocztowego.

Prace nadsyłane na konkurs nie mogą być do chwili ogłoszenia wyników konkursu publikowane w prasie, radio i telewizji.

Ustalone są następujące nagrody:

I nagroda w wysokości 4.000 zł, dwie drugie nagrody w wysokości po 2.500 zł każda, trzy trzecie nagrody w wysokości po 1.500 zł każda, Nagroda Specjalna ufundowana przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi w postaci dzieła sztuki, oraz 10 wyróżnień po 300 zł każde.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Rozstrzygnięcie konkursu i opublikowanie wyników nastąpi w maju 1963 r.

Osoby nagrodzone i wyróżnione zaproszone zostaną na uroczystości V Łódzkiej Wiosny Poetów, podczas których nastąpi oficjalne ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród.

Nadesłanych utworów organizatorzy konkursu nie zwracają.

OBLUBIENICA

OBOK pisarzy polskich, emigrantów, którzy opuścili Polskę i nie zamierzają do niej wracać (przeważnie ze względów politycznych) zaczynają pojawiać się pisarze innego gatunku. Jest to przeważnie młody narybek — ci, którzy dorośli i dojrzeli w obcych środowiskach, lub ci, którzy związali swe interesy osobiste z innym krajem, ale z Polską nie zerwali łączności.

Do nich należy poeta i prozaik średniego pokolenia, Jerzy Zdzisław Kędzierski. Nas interesuje on i z tego względu, że jest lublinianinem. Urodził się w Lublinie w 1920 roku. Tutaj ukończył szkołę średnią. Odbył służbę wojskową i ukończył szkołę podchorążych i zanim zdążył zdjąć mundur, wybuchła wojna. Brał udział w kampanii wrześniowej, a potem, po przedostaniu się na Bliski Wschód, został przydzielony do brygady karpackiej. Walczył w jej szeregach.

Po wojnie pracował w Afryce Wschodniej. Nie przerywał nauki. Studiował na uniwersytecie amerykańskim w Bejrucie, a równocześnie zapisał się na dwuletni korespondencyjny kurs ekonomii w londyńskim British Tutorial Institute. Ze Wschodu pojechał do Anglii w 1948 r. i zaczął studiować historię na uniwersytecie londyńskim, którą ukończył w 1952 r. Po ukończeniu studiów rozpoczął opracowywanie „Historii Anglii", która jako dwutomowe dzieło wydana będzie w Polsce przez „Ossolineum".

Od chwili przybycia do Anglii i rozpoczęcia studiów zaczął zamieszczać w pismach literackich wiersze i nowele. Właściwie pierwszym krokiem literackim Kędzierskiego było zdobycie pierwszej nagrody na konkursie literackim. Ten sukces otworzył mu łamy pism.

Dał się przede wszystkim poznać jako interesujący nowelista, obdarzony wybitnym poczuciem humoru. Jego nowele, takie jak „Lubisz pan wilki?", czy „Z prochu powstałeś", zyskały mu uznanie czytelników i znawców literatury.

Niedawno nakładem znanej firmy wydawniczej B. Świderskiego w cyklu „Londyńska Biblioteka Literacka" ukazał się tomik poezji Kędzierskiego zatytułowany „Oblubienica".

Uderza w utworach Kędzierskiego przede wszystkim to, że nie ulega on tak obecnie rozpowszechnionej nowoczesnej modzie, która ad absurdum doprowadziła zagadnienia formy i treści. Kędzierski narzucił sobie dyscyplinę pisarską nie tyle tradycyjną, ile z tradycji wynikającą, ale nie wiążącą autora żadną sztywną regułą. Jego wiersz jest bardzo rytmiczny i ma coś z fonetyki tam-tamów. Akcent rytmiczny często zastępuje rym, którego autor „Oblubienicy" raczej unika. Ale wyraźnie lgnie do jakby tradycyjnej czterowierszowej zwrotki, w której często wykryć można śpiewne melodie poetyckie Lenartowiczowskie.

To nie są chyba reminiscencje, to świadomy wybór źródła, które inspiruje Kędzierskiego. Ale nie uzależnia się od niego — przetwarza w swoisty wyraz poetycki, który utworom Kędzierskiego nadaje oryginalny ton. Jego wiersze są chwilami surowe i proste, ale tą surowością i prostotą, która warunkuje bezpośredniość wypowiedzi poetyckiej.

Spadło z topoli gniazdo bocianie
z jasnego nieba,
Pusto się stało, drzewo zostało
I serce boli.
Długo krążyły stare bociany
Nad martwym domem,
Serce latało z nimi wołało,
Nic już nie trzeba.

W tej trochę niezwykłej lapidarności kryją się kojarzeniowo różne podteksty od rozumowo treściowych aż do bezwyrazowych emocjonalnych, tak jak ukłucie w sercu, włącznie.

Może są wyrazem tęsknoty za krajem, o której wyraźnie Kędzierski nie pisze, ale którą można odnaleźć w niektórych strofach:

„A bociana wierny klekot
W sercu gniazdo ci zakłada
Gdzie tęsknoty do powrotów
Już do śmierci będziesz składał".

W. G.

Most nad czasem

TADEUSZ KŁAK

AUTORA nie trzeba czytelnikowi „Kameny" rekomendować, książki [1]) właściwie także. Konrad Bielski zbyt mocno tkwi w życiu literackim od wielu lat, a jego wspomnienia z dwudziestolecia były drukowane przez wiele miesięcy na tych łamach, budząc zrozumiałe zainteresowanie.

Dla wielu powodów. Przedmiotem głównym „Mostu nad czasem" są sprawy, które działy się w Lublinie w latach mniej więcej 1918—1930. Oczywiście są i wspomnienia sięgające dalej wstecz, ku dzieciństwu i młodości autora, rozgrywające się poza Lublinem, na wschodnich kresach Polski. Zresztą te chyba rozdziały należą do najlepiej napisanych. Ale to, co najbardziej w tej książce frapuje, to sprawy literackie, dzieje wszystkich przedsięwzięć, inicjatyw, pomysłów, prób, jakie się wtedy rodziły. Ten okres pozbawiony jest rzeczowych informacji i opracowań, nic więc dziwnego, że dla nas miał on raczej posmak legendarny i mityczny i chcąc się czegoś o tym czasie dowiedzieć trzeba było udawać się do świadków, do tych, którzy tę legendę stwarzali i podtrzymywali. Ale ta legenda ma solidne oparcie w faktach. „Lucifer", „Reflektor", „Nowe Życie", „Przegląd Lubelsko-Kresowy", to pierwsze z brzegu. Prawda, że były to zjawiska nie mające dalekiego zasięgu społecznego (poza przygodą „Lucifera", ale to inna sprawa), stanowiły jednak zaczyn, glebę dla następców, były dowodem woli uczestniczenia w tym, co wtedy dopiero się rodziło, co było zjawiskiem wstępującym. Że był to bardzo owocny zasiew, świadczą lata następne, nie objęte już tą książką.

Wśród dokonań pierwszych lat dwudziestolecia są i rzeczy rangi bardzo wysokiej, o znaczeniu nie tylko lokalnym. „Reflektor" był pismem, które jakością nie ustępowało ówczesnym pismom awangardy w rodzaju „Nowej Sztuki" czy „Almanachu Nowej Sztuki". Futurystyczne wiersze Stanisława Grędzińskiego i Konrada Bielskiego nie ustępują utworom futurystów krakowskich czy warszawskich. Albo Czechowicz, który w tym klimacie dojrzewał. „Reflektor" i jego nowy program umożliwił poecie niesłychanie szybką ewolucję poetycką. Dzięki niej Czechowicz szybko awansował do grupy czołowych poetów nowego pokolenia, co wkrótce zadokumentował rewelacyjnym zbiorem „Kamień". Sam Czechowicz dawał w jednym z listów świadectwo, ile w pierwszym okresie swej twórczości zawdzięczał właśnie autorowi tych wspomnień.

W tych wszystkich przedsięwzięciach i Bielski magna pars fuit. Ale nie chcę tutaj streszczać całego „Mostu nad czasem". Nie dotyczy on zresztą wyłącznie spraw literackich. Przeciwnie. Autor, postać o iście renesansowym profilu i stosunku do świata, obejmował swoim doświadczeniem wszystko to, co życie niosło: teatr, prasa, wydawnictwa, uniwersytet. A także: cygańskie życie świata artystycznego, kawiarnia, knajpa i wódka. Ale to są znaki dość schematyczne i umowne. „Most nad czasem" to wspomnienie, gawęda, gawęda najlepszej próby i o dobrych parantelach. Autor nie przestrzega ani chronologii, ani nie pilnuje jednego tylko wątku. A jednak kształt i konstrukcja tej gawędy jest przejrzysta, nie wodzi czytelnika na ubocza. Wszystkie dobre i złe strony „Mostu nad czasem" wynikają całkowicie z poetyki gawędy. Autor nie pisze, ale opowiada to, co pamięta i jak sobie przypomina. Dzięki fenomenalnej i wiernej pamięci autora (któż inny mógłby recytować z pamięci całe fragmenty szopek sprzed trzydziestu przeszło lat, albo niezliczone wiersze, często zupełnie już zapomniane?) otrzymaliśmy opowieść, w której jak w filmie przewijają się ludzie i zdarzenia, ewokowane w sposób niesłychanie żywy i plastyczny. Przy tym autor korzysta chętnie z tego prawa i przywileju, który lata młodości czyni okresem rajskim, złotym wiekiem, a wszystko co się wtedy działo, ulega idealizacji i godne jest wspomnienia ciepłego i dobrego. Bielski o ludziach mówi dobrze, poza wyjątkami. Nie znaczy to, żeby jego opowieść przeczyła faktom. On tak tę rzeczywistość widzi. Zresztą na tle podobnych książek, które załatwiają stare porachunki, jest to cecha rzadka i ujmująca. Inna godna uwagi cecha tej książki, to jej bezpośredniość i niefałszowana szczerość. Autor nie ucieka się do zabiegów stylizacyjnych i retuszu, mówi wprost, nie hamuje nawet swojej uczuciowości (ile to razy spotykamy zwrot w rodzaju „popłakaliśmy się", co nie zawsze pewnie trzeba uważać za metaforę?). Ta bezpośredniość relacji ma i swe strony niedobre, co, zasłuchani w tok wspomnień, dostrzegamy dopiero później. Język „Mostu nad czasem" to język nie pisany, literacki, ale mówiony, potoczny. Doskonały przy słuchaniu, przy czytaniu zaś niekiedy irytuje dłużyzną, niezręcznością, graniczy z niedbałością wynikłą z pośpiesznego, niezbyt czujnie kontrolowanego pisania.

„Most nad czasem" jest pierwszym tak dokładnym i interesującym wejrzeniem w niezwykle ciekawe sprawy i prowokuje następne tego typu publikacje. Choć jest on dość pełny, obejmuje wiele, to jednak tylko (to nie pretensja!) z jednego, autorskiego punktu widzenia. Przenosi zeznania jednego świadka. Po zamknięciu książki odczuwa się potrzebę jeszcze nowych, innych spojrzeń, aby obraz stał się wielopłaszczyznowy, pełniejszy.

Właściwie gawęda Bielskiego skonstruowana jest na zasadzie portretów. Niektóre są szkicowe, inne bardziej obszerne, ale jak żywo i celnie naszkicowane. Grędziński, Bocheński, Grodnicki, rodzina Biernackich, czy Arnsztajnów — te najbardziej zostają w pamięci. A każdy portret malowany jest kolorem ciepłym, słowo owiane sentymentem, obrazy wywołane z pamięci z czułością. Przy tym autor zachowuje umiar i proporcje, swoją osobą gawędziarza i uczestnika nie przesłania innych, choć nie wprowadza fałszywej skromności i we właściwym miejscu zaznaczy zawsze swoją obecność. Poza wartością informacyjną smaku książce Bielskiego dodaje istna kolekcja wyśmienitych, pysznych anegdot, których autor, znakomity gawędziarz, nie żałuje czytelnikowi. Te anegdoty trafiają zwykle w istotę rzeczy, charakteryzują doskonale bohatera opowieści i jej autora.

1) Konrad Bielski: Most nad czasem. Lublin 1962 s. 267. Wyd. Lubelskie. Okładkę proj. L. Wengorek. Podobiznę autora rys. J. Zaruba.

GAWĘDY O FILMIE

LITERATURA NA EKRANIE

LITERATURA a film. Scenariusz — utwór literacki czy też swobodna gra pomysłowości i improwizacji reżysera? Wszystkie siedem grzechów głównych współczesnego filmu polskiego sprowadzone do jednego grzechu pierworodnego: niedoskonałego scenariusza? Układ sił w mariażu: scenarzysta-reżyser. Oto parę tylko wątpliwości na tle „sporu o polski scenariusz". A tymczasem nietrudno dostrzec, że całkowicie normalny związek, jak chcą jedni, czy wołający o pomstę do nieba konkubinat, jak twierdzą drudzy — filmu z literaturą trwa nadal w najlepsze!

Nie zawsze orientujemy się w ilościowej stronie problemu. A ta nie jest błaha. Bowiem w latach 1946—62 polscy filmowcy wprowadzili na ekrany aż 87 przeróbek filmowych utworów literackich 60 pisarzy polskich. Przy 153 zrealizowanych w tym okresie filmach ilość to poważna i wiele mówiąca.

Kogoż tu nie ma! Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Tadeusz Breza, Jerzy Broszkiewicz, Bohdan Czeszko, Jan Dobraczyński, Stanisław Dygat, Józef Hen, Marek Hłasko, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Koźniewski, Stanisław Lem, Igor Newerly, Jerzy Putrament, Wiktor Woroszylski, Jerzy Zawieyski, Wojciech Żukrowski i wielu innych.

Są pisarze legitymujący się w naszym spisie jednym tylko tytułem. Inni — bywalcy agend filmowych — czują się w studiach, jak ryba w wodzie.

Wcale mocno reprezentowani są klasycy i nie klasycy, ale już nieżyjący: Bałucki i Fredro, Konopnicka i Makuszyński, Prus i Sienkiewicz, Uniłowski. I jedyna rodzynka zagraniczna: Zola.

SCENARIUSZ UTWOREM LITERACKIM

Duży wpływ literatury na film jest więc niezaprzeczalnym faktem. A że faktem jest również — przynajmniej dla niżej podpisanego — i przynależność scenariusza do literatury, więc porozmawiajmy trochę na ten temat.

Scenariusz jest określoną formą literacką w tym samym stopniu, co dramat. Scenariusz ma się tak do filmu, jak egzemplarz sztuki do scenicznego spektaklu.

Zacznijmy więc — od podobieństw.

René Clair sądzi, że „powieściopisarz, podobnie jak scenarzysta, może dowolnie rozporządzać czasem i przestrzenią. W powieści, jak i w filmie, opis jednego wieczora może zająć całą książkę i parę lat zmieści się w dwóchtrzech wierszach, tak samo jak przemknęły one w kilka sekund na ekranie". Dalej znakomity reżyser przypomina, że czytelnik może w każdej chwili zamknąć książkę; że powieść nie podlega prawom utworu dramatycznego, którego autor musi utrzymywać uwagę widza bezustannie, od ekspozycji do finału. „Przestrzeganie tego obowiązuje w równym stopniu dramatopisarza i autora filmu, chociaż sposoby techniczne, jakimi się posługują, są całkowicie odmienne. W ten sposób, gdybyśmy chcieli określić charakter opowiadania filmowego przy pomocy porównania, to powiedzielibyśmy, że pod względem swej struktury film jest bliski teatrowi, pod względem formy — powieści".

Niestety — owa bliskość staje się niekiedy zbyt natrętna...

Utwory literackie dały życie trzem filmom polskim, o których tu opowiemy. Są to filmy **„O dwóch takich, co ukradli księżyc"** (wg powieści Makuszyńskiego, reż. Jan Batory, scen. Jan Brzechwa i J. Batory, zdj. Bogusław Lambach); **„Klub kawalerów"** (wg sztuki Bałuckiego, reż. Jerzy Zarzycki, scen. Ludwik Starski, zdj. Kazimierz Konrad); **„Jak być kochaną"** (wg opowiadania Kazimierza Brandysa, reż. Wojciech Has, scen. — tegoż, zdj. Stefan Matyjaszkiewicz).

BAJKA, MUSICAL I FILM

W „Dwóch takich" wiernie oddano atmosferę popularnej w światku dziecięcym powieści Makuszyńskiego. Sensacyjność, w dobrym znaczeniu tego słowa, pogodny humor, optymistyczne spojrzenie na świat, zręcznie ukryta w tkance fabularnej myśl wychowawcza — wszystkie te walory książki znalazły filmowy wyraz. Śmiałe posługiwanie się groteską, przede wszystkim w dekoracjach, doskonale wzbogaciło film Batorego.

Inną drogą poszli, jeśli chodzi o pierwowzór literacki, realizatorzy „Klubu kawalerów". Od Bałuckiego wzięto samą anegdotę „o kilku takich, co nie chcieli się żenić". Muzyka Marka Sarta, scenografia Teresy Roszkowskiej, wiele gagów, udane gdzieniegdzie próby spojrzenia na tamtą epokę oczami dzisiejszego widza złożyły się na pierwszy polski musical. Wśród wykonawców spotykamy wprawdzie nazwiska wielu wybitnych aktorów, ale nie znajdziemy ani jednej wybitnej roli.

Fatalna taśma Agfacolor zamordowała uroki kolorystyczne filmu.

Kazimierz Brandys „zadebiutował" w filmie w 1961 r. dając do realizacji Wajdzie swego „Samsona". Obecnie wyjął z tomu „Romantyczność" opowiadanie „Jak być kochaną" i sam adaptował je na scenariusz, powierzając tym razem reżyserię Wojciechowi Hasowi.

Po bardzo dyskusyjnym „Złocie" tym razem odniósł sukces bezsporny. Autorzy filmu, mimo że potraktowali realia okupacyjne z pewną dowolnością, to jednak pokazali nam żywych ludzi. Nie jest to dokument, ale jest to film o ludziach.

I zarazem film o bezgranicznym poświęceniu kobiety dla kochanego, mniej wartościowego, mężczyzny. Z subtelną ironią traktują twórcy filmu główne postaci swego dramatu. Sam tytuł filmu też brzmi ironicznie. Sens tego wszystkiego jest raczej smętny: najlepsze intencje idą na marne, człowiek żyje najpierw złudzeniami, aby później wejść w czas bezprzedmiotowego rozpamiętywania nie tyle tego, co było, lecz tego co być mogło. Kieliszek koniaku bywa nieocenionym przyjacielem...

Jest to film z mnóstwem aktorów. Lecz cały ten tłum stanowi tło dla jednej roli. Barbara Krafftówna dała w niej kreację najwyższej klasy. Zbigniew Cybulski, jej najbliższy partner, nie wydobył z roli młodego kabotyna sporej części zawartych w niej możliwości.

Jerzy Kuryluk

URBANISTYKA I ARCHITEKTURA

(Dokończenie ze str. 1)

pomieszczenia stanowią poniad 15 procent powierzchni mieszkalnej Lublina.

Kierunek rozwoju każdego miasta wytyczają i determinują trzy warunki: ekonomiczny, funkcjonalny i kompozycyjno - urbanistyczny. Stanowią one podstawę lokalizacji dzielnic mieszkaniowych w stosunku do zakładów pracy, rzutują na wzajemne powiązanie poszczególnych stref miejskich przy pomocy komunikacji oraz mają zasadniczy wpływ na usytuowanie i stan zieleni miejskiej i ośrodków rekreacyjnych.

Jak wygląda realizacja planów rozwoju Lublina w oparciu o wspomniane warunki?

Rzeka Bystrzyca dzieląca miasto na dwie części jest zarazem granicą biegunowo różnych ośrodków życia miejskiego: północno-zachodniego terenu ekspansji zabudowy mieszkaniowej (LSM, Czechów) i wschodniego rejonu przemysłu uciążliwego (FSC, Rzeźnia). Usytuowanie wymienionych zakładów przemysłowych we wschodniej części miasta jest na pewno słuszne, chociażby ze względu na przeważający kierunek wiatrów w Lublinie (północno-zachodni) i przeciwny kierunek zabudowy mieszkalnej wyzyskującej urozmaicone warunki terenowe i zdrowotność rejonów (LSM — Osiedle Mickiewiczowskie). Ryzykowną wydaje się być koncepcja lokalizacji osiedla przyzakładowego w pobliżu FSC, wypływająca z przesłanek ekonomicznych, lecz nie biorąca pod uwagę fatalnych warunków mieszkaniowych, nie licząca się ze zdrowiem ewentualnych użytkowników. Rozwiązanie takie, które usiłowała przeforsować FSC, napotkało jednak na zdecydowany sprzeciw Wydziału Architektury MRN. Oby sprzeciw ten i sensowne argumenty, jakimi operuje Wydział, okazały się skuteczne!

Przemysł nieuciążliwy pozostanie na obecnych terenach (Helenów, Lubartowska), ponieważ nie wpływa ujemnie na spokój i czystość okolicznych dzielnic mieszkaniowych. Szkodliwość lokalizacji przemysłu spożywczego na Wrotkowie jest zmniejszana przez zastosowanie urządzeń oczyszczających ścieki fabryczne.

Osiem dzielnic Lublina (Tatary, Dziesiąta, Kośminek, Wrotków, Rury, Wieniawa, Czechów i Kalinowszczyzna) realizuje program zmniejszania zaludnienia śródmieścia (55 tysięcy mieszkańców) przy czym główny nacisk kładzie się na zabudowę blokową, w mniejszym stopniu — na jednorodzinną.

Każda z dzielnic będzie posiadała własne śródmieście z ratuszem, kinem, biblioteką, klubem i z zespołem innych usług — sklepów, restauracji itp., a więc będą to jednostki w określonym sensie samowystarczalne, o zaludnieniu w granicach 25 tysięcy (Kalinowszczyzna) do 50 tysięcy (Rury).

Niższy stopień strukturalnej jednostki mieszkaniowej reprezentują osiedla wchodzące w skład dzielnic, organizmy zdolne do utrzymania mniejszego ośrodka usługowego składającego się z ośrodka zdrowia, warsztatów rzemieślniczych itp.

Do chwili obecnej zbudowane są lub znajdują się w stadium realizacji osiedla DBOR-owskie przy ul. Głębokiej, na Tatarach, Kalinowszczyźnie, Bronowicach II i interesująco rozwiązane osiedle przy ul. Róży Luxemburg. Drugi poważny inwestor lubelski, LSM, oddał do użytku znane „Osiedle Mickiewiczowskie" na Rurach (II nagroda KBUA za r. 62), projektowane przez zespół inż. F. Haczewskiego; obecnie przystąpiono do budowy „Osiedla Słowackiego", będącego przedłużeniem poprzedniego. Osiedle zaprojektował znany polski architekt Oskar Hansen.

Zasadniczym mankamentem budownictwa mieszkaniowego w Lublinie jest nienadążanie za planowanymi wskaźnikami przyrostu mieszkań, opóźnienie wynikające z dwóch przyczyn: niemożności przekwaterowania ludzi z baraków znajdujących się na terenach planowanej zabudowy, ponieważ nie ma ich gdzie przekwaterować, i po drugie — ze znikomego stosowania prefabrykatów w budownictwie, mówiąc ogólniej — z tradycyjnej, mało wydajnej techniki budowania, której podstawowym tworzywem pozostaje nadal cegła.

Elementem wiążącym całość organizmu miejskiego pozostanie obecne śródmieście mieszczące budynki centralnej administracji i handlu, uczelnie i inne instytucje o charakterze usługowym.

Połączyć wszystkie dzielnice miasta, umożliwić szybki dojazd do pracy i z pracy do domu, ułatwić dotarcie do ośrodków rekreacyjnych i kulturalnych, to wcale nie łatwe problemy współczesnego trzystupięćdziesięciotysięcznego miasta. Wiemy dobrze, jak wygląda komunikacja w Lublinie 200-tysięcznym, wiemy z własnego „zatłoczonego" doświadczenia. Wiele przyczyn złożyło się na taką sytuację, wśród nich — niewystarczająca ilość taboru MPK i ciasna zabudowa śródmiejskiej części miasta. Wyburzenie domów i przecinanie nowych połączeń jest niemożliwością, tak jak niemożliwością finansową jest budowanie dwupoziomowych skrzyżowań, nawet w punktach szczególnie intensywnego ruchu (węzeł ulic Buczka, Męczenników Majdanka, 1 Maja).

Częściowo zrealizowany plan komunikacji miejskiej zakłada zbudowanie czterech tras szybkiego ruchu: trasy W—Z biegnącej doliną rzeki Czechówka i łączącej zachodni i wschodni kraniec miasta; trasy N—S (ul. Lubartowska, podnóże Zamku, dolina Czerniejówki); trasy Głęboka — Sowińskiego, łączącej mieszkaniowe dzielnice Wieniawy i Rur z dzielnicą przemysłową Wrotków. Tzw. trasa „Zielona" biegnąc doliną Bystrzycy wiąże przemysłowe ośrodki ulicy Łęczyńskiej, Metalowej i Krochmalnej oraz rejon dworca PKP z ośrodkiem wypoczynkowym Zemborzyce, jednocześnie otwierając drogę na pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie. Tu trzeba dodać, że wymienione trasy powinny były być oddane do eksploatacji przed rokiem 1960 a, jak wiadomo, do dziś nie zostały całkowicie zrealizowane.

Przy obecnym stanie lubelskiej komunikacji niemożliwością wydaje się wyeliminowanie ruchu kołowego z Krakowskiego Przedmieścia i Starego Miasta, co jednak narzuca konieczność ciągłych remontów i napraw zapadających się jezdni i pękających ścian. Jedyne rozwiązanie brane pod uwagę w planach urbanistycznych — to utworzenie objazdu ulicami Curie-Skłodowskiej, Okopową, a od południa — ulicami 1 Armii WP, Dymitrowa, Zieloną do ul. Hanki Sawickiej. Wokół śródmieścia planowana jest lokalizacja szeregu parkingów.

Czy układ ten rozwiąże trudności miejskiej komunikacji? W tej chwili nie można dać zdecydowanej odpowiedzi, lecz jedno nie wydaje się podlegać dyskusji: jeżeli realizacja planu nie ruszy po roku 1965, bądźmy przygotowani na najbardziej przykre niespodzianki, tym bardziej, że obecnie mamy w Lublinie 13310 pojazdów mechanicznych, a przewiduje się wzrost do około 20000 już w r. 1966!

Obok komunikacji drugim ważnym i w pełni nie rozwiązanym problemem jest ilość i rozmieszczenie zieleni miejskiej, terenów rekreacyjnych. Nie jest nowym stwierdzenie, że Lublin ma niezwykle mało zieleni, że istnieją ulice — kamienne wąwozy (część Lubartowskiej), a zadrzewienie spełnia często jedynie funkcję dekoracyjną.

Realizowane plany urbanistyczne przewidują lokalizację terenów rekreacyjnych głównie w dolinie rzeki Bystrzyca, a więc na obszarze obecnego Parku Ludowego i przewidywanych parków na Rusałce i Podzamczu. Całość zamknięta zostanie zielenią Sławinka i Zemborzyc.

Usytuowanie wynikło z konieczności powiązania doliny Bystrzycy z miastem i z małej przydatności budowlanej tego obszaru, a także z dogodnego połączenia komunikacyjnego z pozostałymi dzielnicami.

Dyktat ekonomiki ma jednak swoje ujemne konsekwencje. Tereny nadbystrzyckie — to grunt podmokły, a odpoczynek nad cuchnącą rzeczką mija się z celem. Jeżeli dolina Bystrzycy ma istotnie spełniać rolę ośrodka rekreacyjnego, to nieodzowne wydaje się zdecydowane zmniejszenie skutków zastanej lokalizacji uciążliwych zakładów przemysłowych w górnym biegu rzeki (Cukrownia). Wysiłki czynione w tym kierunku nie przyniosły do dziś zadowalających rezultatów. Ilustracją doniosłości problemu jest fakt rozpisania ogólnopolskiego konkursu na założenie parkowo-wypoczynkowe Lublina, konkursu, który zakończył się sukcesem zespołu lubelskiego pod kierunkiem inż. Dylewskiego. Niestety — pomimo zatwierdzenia, nie wiadomo kiedy projekt wejdzie w fazę realizacji, a przyczyny takiego stanu [illegible] sprowadzają się do trudności finansowych oraz do niemożności przeniesienia części ogródków działkowych zajmujących tereny przyszłych parków.

Inne problemy związane z dworcem PKP, PKS i ośrodkiem w Zemborzycach są dość znane, aby się nad nimi rozwodzić.

Tak w wielkim skrócie przedstawiają się plany rozwoju Lublina i trudności związane z ich realizacją.

Ireneusz Jan Kamiński

OBCHODY ROCZNICY POWSTANIA STYCZNIOWEGO

(Dokończenie ze str. 2)

* W Białej Podlaskiej zostanie wmurowana w gmachu Liceum im. Kraszewskiego tablica pamiątkowa ku czci przywódców powstania na Podlasiu Ks. Stanisława Brzóski i Romana Rogińskiego. Bialskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Terenowego uporządkuje mogiłę powstańca Aleksandra Szaniawskiego pod Woroncem.

* Zostanie również odbudowany zniszczony w 1939 roku przez hitlerowców, pomnik powstańców w Bizicach k. Białej Podlaskiej, na miejscu bitwy oddziału R. Rogińskiego z wojskami gen. Nostitza.

* Biłgoraj, Chełm, Zamość organizują sesje popularno-naukowe poświęcone omówieniu zagadnień powstania na ich terenie. Tegoroczne Dni Chełma (15—22 września) odbędą się również pod kątem tej rocznicy.

* Towarzystwo Wiedzy Powszechnej planuje wygłoszenie 200 odczytów w poszczególnych miejscowościach całego województwa.

* Na terenie miast, miasteczek, osad i wsi odbędą się imprezy artystyczne, odczyty, wystawy i spotkania.

* Będą też organizowane wycieczki z województwa na wystawy i do muzeów.

* Uporządkowane zostaną pola bitew i miejsca straceń i oznaczone za pomocą tablic, kamieni pamiątkowych itd. Np. w miejscowości Batorz k. Kraśnika, w której w dniu 5 września 1863 roku zginął przywódca powstania M. Borelowski „Lelewel", zostanie otwarta nowo wybudowana czynem społecznym szkoła i nazwana jego imieniem.

* PTTK planuje zorganizowanie rajdów motocyklowych i pieszych szlakami walk oddziałów powstańczych.

* Związany też będzie z 100 rocznicą powstania styczniowego wojewódzki konkurs recytatorski i festiwal teatrów poezji.

Plan obchodów 100 rocznicy powstania styczniowego uwzględnia w br. w dużym stopniu czyny społeczne deklarowane przez ludność. Np. na terenie powiatu bialskiego, łukowskiego, krasnostawskiego i innych wyremontuje się w okresie letnim czynem społecznym kilkadziesiąt obiektów kulturalnych. Podejmowane są również uchwały odnawiania domów kultury, świetlic, szkół, naprawy płotów, usuwania rumowisk itp.

Wiele szkół na terenie województwa wzięło pod swoją opiekę mogiły i pomniki w różnych miejscowościach: Batorz, Fajsławice, Lublin, Wronów, Zyrzyn itd. Tą akcją powinny się zainteresować organizacje młodzieżowe, takie jak ZMW, ZMS, ZHP, kluby i domy kultury oraz służba konserwatorska.

Uroczystości rocznicowe na Lubelszczyźnie przewidziane są na rok 1963, 1964 i 1965, tj. odpowiednio do przebiegu powstania. [illegible] uroczystość odbędą się w roku bieżącym. Uroczystości w latach następnych będą miały charakter raczej lokalny i uzupełniający.

Oczywiście Komitet Obchodów [illegible] nie ustala jeszcze całością programu, który będzie się wzbogacał z biegiem czasu i obejmie cały szereg inicjatyw tu nie wymienionych.

Stanisław Kozłowski

W KRASNOSTAWSKIM MUZEUM

(Dokończenie ze str. 2)

r. 1958 jako trzeci z ośrodków dawnej Ziemi Chełmskiej. Obecnie zasięg działalności muzeów regionalnych określony jest granicami administracyjnymi powiatów, niejednokrotnie sztucznie dzielącymi terytorium o wspólnym lub pokrewnym obliczu kultury ludowej oraz o wspólnej historii.

Ziemia Chełmska, która wyłoniła się z pogranicza Rusi Czerwonej i przez kilka stuleci należała administracyjnie do województwa ruskiego, tworząc enklawę o specyficznej autonomii ustrojowej, a kulturalnie i gospodarczo ciążyła ku Małopolsce, była terenem o pewnym odrębnym obliczu. Choćby w zakresie sztuki można zaobserwować tu szereg zjawisk oryginalnych, wciąż jeszcze niedostatecznie zbadanych. Archeologa i etnografa w jego badaniach też nie mogą krępować obecne podziały administracyjne. Trudno sobie również wyobrazić, by Muzeum w Zamościu, ukazujące dzieje i rolę ordynacji, wyłączyło z zasięgu swych zainteresowań tereny sąsiednich powiatów, na które rozciągały się latyfundia Zamoyskich.

Przesłanki te skłaniają do postulowania ścisłej współpracy między muzeami w Chełmie, Krasnymstawie i Zamościu, zarówno w gromadzeniu zabytków i inicjowaniu prac badawczych, jak w działalności wystawienniczo - oświatowej. Wydaje się słuszne przygotowanie dla tych trzech placówek kompleksowego programu działania, uwzględniającego wspólne badania terenowe, wymianę zasobów i ekspozycje wzajemnie się uzupełniające. Jest to bowiem jeden z podstawowych warunków, by muzea te nie przekształciły się w zbiornice pamiątek historycznych, lecz stały się w pełni „uniwersytetami kultury".

Muzeum w Krasnymstawie. Wystawa: Archeologia — Historia — Kultura ludowa przygotowane przez zespół pracowników muzeów w Lublinie i Krasnymstawie w składzie: T. Libuchowa, J. Optolowicz, J. Petera, K. Postawka, Z. Ślusarski, Z. Tokarzewski pod kierunkiem I. Iskrzyckiej. Proj. sprzętu wystawowego Z. Ślusarski. Oprawa plastyczna — E. Pol.

Mieczysław Kurzątkowski

Kronika kulturalna 4 województw

BIAŁYSTOK

WSPÓLNE PLENARNE POSIEDZENIE władz wojewódzkich ZMS i ZMW było poświęcone omówieniu wspólnego działania w pracy kulturalno-oświatowej wśród młodzieży.

WYSOKIE MAZOWIECKIE posiada nowy Dom Kultury, ale miejscowi działacze jakoś od kilku miesięcy nie potrafią zorganizować tam stałej pracy.

POMNIK MARII KONOPNICKIEJ w Suwałkach, według projektu Pracowni Sztuk Plastycznych w Warszawie, ma być gotowy w maju. Na budowę zebrano już ponad 100 tys. zł.

PONAD PÓŁ MILIONA widzów oglądało w r. ub. filmy wyświetlane przez kina ruchome. W każdym miesiącu kina te odwiedzają 448 wsi województwa.

50 PUNKTÓW BIBLIOTECZNYCH w PGR zorganizowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna. Niestety Wojewódzkie Zjednoczenie PGR mimo wielu obietnic przestało dokładać się do zakupu książek.

59 UNIWERSYTETÓW POWSZECHNYCH działa w województwie, podczas gdy w r. ub. było ich 31.

ROCZNY PLAN ZBIÓRKI na budowę szkół wykonał pow. moniecki — w r. ub. też zajął pierwsze miejsce w województwie, a drugie w kraju. W nagrodę buduje się tam 4 szkoły.

KNYSZYŃSKIE WIECZORY KULTURALNE wniosły duże ożywienie w życie miasteczka. Organizuje je kilka razy w miesiącu „Gazeta Białostocka".

MIĘDZYNARODOWY CZERWONY KRZYŻ zaprosił dziecięce kółko plastyczne z Augustowa do przysłania prac na światowe wystawy rysunków dziecięcych w Bułgarii i we Włoszech.

KIELCE

W CZTERECH WSIACH powiatu radomskiego rozpocznie się na wiosnę budowę szkół podstawowych. Ponadto kilkanaście innych będzie wyremontowanych.

TEATR LALKI I AKTORA w Kielcach wystawił pantomimę dla dzieci „O słonku, sroce i krasnoludkach". Widowisko jest gorąco oklaskiwane przez młodocianych widzów.

ZESPÓŁ KOBIET - ARCHITEKTÓW, pod kierunkiem mgr inż. Barbary Brosa, opracował pierwszy w Polsce projekt budynku wysokościowego z cegły szylikatowej.

KOMISJA OŚWIATY WRN wraz z nowo mianowanym kuratorem St. Ornatowskim podjęła sprawę utworzenia w Kielcach wyższej uczelni.

WYSTAWY MALARZY KIELECKICH I RADOMSKICH będą organizowane w kilku zakładach pracy, połączone z prelekcjami i sprzedażą obrazów. Wystawione będą także plansze „Moje hobby to mieszkanie". Całą sprawę wraz z plastykami realizuje Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych.

NA KONKURS FOTOGRAFICZNY dla młodzieży nadesłano tylko jedną pracę. Kłopotów z przyznaniem nagrody nie było, ale czy naprawdę tylko jeden młodzieniec fotografuje?

PIERWSZĄ GIEŁDĘ PAMIĄTEK REGIONALNYCH urządziły spółdzielnie kieleckie. Może więc w sezonie turystycznym

(Dokończenie na stronie 12)

KONKURS MAŁYCH FORM LITERACKICH

Wojewódzki Oddział Stowarzyszenia PAX w Lublinie ogłasza KONKURS MAŁYCH FORM LITERACKICH dla czterech województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego.

W konkursie może wziąć udział każdy mieszkaniec wyżej wymienionego województwa.

Prace konkursowe (proza, poezja) nie powinny przekraczać dwóch stron maszynopisu. Tematyka prac dowolna.

Prace w trzech egzemplarzach w maszynopisie należy nadesłać w nieprzekraczalnym terminie do dnia 20 kwietnia 1963 r. pod adresem: Wojewódzki Oddział Stowarzyszenia PAX w Lublinie Krakowskie Przedmieście 68 z dopiskiem „KONKURS MAŁYCH FORM LITERACKICH". Prace muszą być opatrzone godłem. Do prac należy dołączyć zalakowaną kopertę, w której na kartce należy podać nazwisko, imię i adres.

Ogłoszenie wyniku konkursu nastąpi w dniu 15 maja 1963 r.

Za najlepsze prace zostaną przyznane następujące nagrody:

I — 1200 zł
II — 900 zł
III — 600 zł
IV — 300 zł

Jury zastrzega sobie prawo nieprzyznawania pierwszej nagrody lub też innego podziału nagród.

Święto kobiet?

UFF, już po wszystkim. Po „wielkim praniu"? Odświeżaniu mieszkania? Po przyjęciu w domu z okazji imienin? Nie. Po święcie kobiet...

Najpierw ukazywały się w gazetach drobne wzmianki, że już święcą.. Tu i ówdzie „po zakładach i instytucjach". Potem, już w samym dniu 8 marca pojawiły się na czołowych kolumnach liryczne fotografie uśmiechniętych dziewcząt i matek — staruszek trzymających wiązanki goździków (po 25 zł sztuka). Ukazały się wywiady na znany temat: „Czego pani życzy sobie w Dniu...?" Okazało się, że mieszkań, pralek, szybkowarów i gotowych wyrobów garmażeryjnych...

Akademie uświetniono referatami. Była w nich mowa o udziale kobiet, o równouprawnieniu i o tym, że w niektórych krajach nie mają prawa głosu i że muszą zajmować się uprawą ziemi i innymi ciężkimi robotami oraz że w ogóle są traktowane jak niewolnice. Może im będzie lżej, gdy dowiedzą się, że w większości krajów cywilizowanych już tak nie jest i że przed rozdaniem niebieskich kopert z „wyróżnieniami" rozlegają się z mównic słowa współczucia i nadziei?...

Referaty miały podejrzanie pożółkłe kartki i pozaginane rogi. Tylko przy cyfrach prelegenci zerkali do osobnych notesów, korygując niektóre liczby sprzed pięciu lat. Przecież w końcu znów przybyło trochę przedszkoli, poradni „K" i przyrządów do automatycznego obieranie jarzyn. I nie ma co wydziwiać, że za mało, skoro kobietom w Hondurasie i Dahomeju w tym samym czasie przybyły co najwyżej tylko... dzieci.

A w ogóle, czy Pani Redaktor „Kameny" nie mogłaby mi wytłumaczyć, po co w „krajach cywilizowanych" urządza się Święto Kobiet? Czy przypadkiem nie ma w nim filisterskiej aury, takiej jak w litościwym stwierdzeniu: „Murzyn — też człowiek"...? Nie, niech Pani nie poprawia, że „Międzynarodowy Dzień Kob[illegible]". To istot-[illegible]mi dumnie i „solidarnościowo", [illegible]nas- o coroczne „wypomi-[illegible] p...odówek, żłobków i... etatów na tzw. stanowiskach ma w sobie coś z rodzinnych porachunków w stylu: „tatuś dla ciebie żyły wypruwa, daje ci na kino, kupuje ci łyżwy, pamiętaj, żebyś się dobrze uczył"...

Kobiety zresztą już od dawna podejrzewają, że to ich „święto" wymyślili... mężczyźni. Tacy z kompleksem... matriarchatu. „Już starożytni Rzymianie...", a także i Słowianie dla przebłagania gniewu i dla zapewnienia sobie świętego spokoju ze strony „sił nadprzyrodzonych" składali ofiary, gimnastykowali się w tańcach wokół świętych ognisk, wznieconych „ku czci"... Ale tutaj to chyba nie to. To raczej ochota przypomnienia, że równouprawnienie — równouprawnieniem, Konstytucja — Konstytucją, a ty, babko, pamiętaj, że tak naprawdę to ważna jesteś raz do roku. I jak sobie 8 marca policzymy, jak to „nic nie robiąc" koło kuchni, prania i sprzątania w domu przedreptujesz dziennie te swoje 10 kilometrów, jak się użalimy nad twoim codziennym dźwiganiem zakupów w siatce, jak pomyślimy nad twoimi kłopotami z dziećmi, budżetem, łączeniem pracy zawodowej z domową — zaraz nam lżej: jeszcze, chwała Bogu, do prawdziwego równouprawnienia daleko!

Jeśli Międzynarodowy Dzień Kobiet ma być właściwie dniem solidarności wolnych społeczeństw z kobietami ujarzmionymi przez kolonialny i kapitalistyczny feudalizm, to może dnie 8 marca poświęcić by na myślenie, jak konkretnie ulżyć ich ciężkiej doli. Przed wojną zbierało się „srebro" z czekolady „na Murzynka". Co można dzisiaj zrobić dla kobiet z Senegalu czy Nowej Gwinei?

Jeśli Międzynarodowy Dzień Kobiet jest pomyślany jako święto płci, to może można by go obchodzić jak święto kwitnienia wiśni czy jabłoni? Choćby i w marcu! Pod hasłami: „Kobieta — szczęściem i radością", „Kobieta — najpiękniejszym dziełem natury"... Maskaradowe pochody, confetti, kwiaty...

Bo jeśli nadal będzie „to wszystko" odbywało się w takiej w gruncie rzeczy ponurej aurze przyozdobionej doniczką z fiołkiem alpejskim, to doczekamy się, że śladem Emeliny Pankhurst zaczną wdrapywać się na jarzące się uroczyście „akademijne" żyrandole, by wrzeszczeć stamtąd: „Precz, won! Jesteśmy już dawno równouprawnione!"

Gdzie tam. Nie będą. One są mądre i świadome swojej wartości. Pobłażliwie znoszą referaty i doniczki. Nie mają kompleksu niższości. Nie dadzą go sobie wmówić. A „święto kobiet" traktują jako jeden w roku dzień „opamiętania się" mężczyzn, którzy na co dzień zapominają o kwiatkach, ciepłym słowie i kurtuazji...

Zoil z Wólki

PRZEGLĄD PRASY

Lektura drugiego numeru **Twórczości** przynosi czytelnikowi wiele satysfakcji i jak mało kiedy niemal wszystkie pozycje godne są uwagi. Na czoło numeru wybija się opowiadanie Ryszarda Miernika pt. „Matoł". Pewne realia utworu (rzecz dzieje się w jednym z miasteczek Kielecczyzny) pozwalają utożsamiać autora tego opowiadania z autorem wierszy z grupy „Ponidzie", którego znamy z paru wystąpień grupy na łamach „Kameny". Ostre widzenie problemów, dosadne ukazanie środowiska nauczycielskiego i atmosfery małomiasteczkowej, a przy tym pewne, dające sobie radę z materią pisarską pióro — każą widzieć w Mierniku zapowiedź bardzo ciekawego pisarza.

Entuzjaści Żeromskiego i wielbiciele jego „Dzienników" z uwagą przeczytają obszerny szkic Jerzego Kądzieli o „Dziennikach". Jest to właściwie wstęp do zapowiadanego nowego wydania „Dzienników", wzbogaconego o ujawnione później fragmenty. Punktem wyjścia autora jest uwaga, że „walory poznawcze „Dzienników" nie były dotychczas w pełni wykorzystane dla badań nad życiem i twórczością Żeromskiego". W oparciu o „Dzienniki" Kądziela śledzi proces formowania się pisarza i drogi jego światopoglądu, stwierdzając, że dzieło młodego Żeromskiego stanowi nieoceniony, najbardziej wiarogodny dokument dla badacza genezy jego dzieł dojrzałych. Drugi nurt rozważań autora stanowi teza (dawniej już formułowana), że „Dzienniki" są pierwszym wielkim dziełem Żeromskiego, w którym nad pamiętnikarzem bierze górę pisarz i słuszna jest konkluzja Kądzieli, że „Dzienniki" były dla Żeromskiego dziesięcioletnią szkołą pisarską.

Ten sam numer „Twórczości" zawiera także dwie interesujące pozycje dotyczące Witkacego: dwa listy Stanisława Ignacego Witkiewicza do Jarosława Iwaszkiewicza oraz ciekawy szkic Iwaszkiewicza o wydanych niedawno „Dramatach" Witkiewicza. Autor stwierdza najpierw, że pewne cechy niedojrzałości w utworach Witkiewicza nie mogą być tłumaczone brakiem systematycznego wykształcenia, jak się niekiedy uważało. Przyczyny tkwiły gdzie indziej. Pewien trop daje wspomnienie R. Ingardena: „Gdzieś u samego podłoża jego jestestwa, w czasie, gdy go jeszcze nie znałem, musiał dokonać się jakiś kataklizm, olśnienie dziwnością i obcością bytu, które mu już potem nigdy spokoju odzyskać nie pozwoliło". Wit-kiewicz — zdaniem Iwaszkiewicza należy do epoki zamkniętej już i przeżytej. Ale mimo obcości Witkacy jest współczesny, bliski nam poprzez swój niepokój.

„Pamiętniki chłopów" i „Pamiętniki emigrantów" należą, z wielu powodów, do najbardziej charakterystycznych książek międzywojennego dwudziestolecia. Wydaje się, że dla dwudziestolecia Polski Ludowej zjawiskiem o takiej randze i znaczeniu będą „Pamiętniki inżynierów", które powstały jako wynik konkursu redakcji **Polityki.** Konkurs został rozstrzygnięty, laureaci ustaleni. Plon konkursu przeszedł wszelkie oczekiwania. Nic więc dziwnego, że „Polityka" nie tylko u siebie wydrukuje wybrane prace, ale także służy nimi innym pismom, a pamiętnikami inżynierów interesują się już socjologowie, filmowcy, zaś ich wybór książkowy zamierza opublikować „Czytelnik". Mówi o tym wszystkim Tadeusz M. Kowalski („Polityka" nr 9) w artykule „Epopeja dwudziestolecia", który podsumowuje dorobek konkursu. Optymistycznie brzmi ocena młodej generacji w świetle ich pamiętników. Najlepsza część młodej inteligencji jest „jak najbardziej zaangażowana, jak najbardziej odpowiedzialna za los swego kraju ,a przy tym trzeźwo, konkretnie myśląca". Porównanie pamiętników inżynierów, ich obrazu świata i obrazu, jaki daje młoda literatura, są bardzo wymowne:

„Przy czytaniu pamiętników inżynierów nasuwa się nieodparcie wniosek: jaka nieprawdziwa i uboga jest nasza młoda literatura, zajmująca się głównie dziwacznymi stanami neurasteników. To właśnie na budowach, w wielkich fabrykach, w zagubionych miasteczkach prowincjonalnych trzeba szukać rzeczywistych konfliktów, prawdziwego dramatyzmu i spraw, które są naprawdę ważne".

I uwaga generalna autora: **„na zbliżające się XX-lecie Polski Ludowej otrzymaliśmy cenny obraz 20 lat, które minęły od wojny(...) wraz z całym ich dramatycznym patosem".** Począwszy od następnego numeru „Polityka" będzie drukować fragmenty nagrodzonych i wyróżnionych prac.

Przegląd Kulturalny (nr 10) rozpoczyna druk nowej powieści Jerzego Putramenta pt. „Pasierbowie". Pierwszy odcinek zapowiada rzecz pisaną (wiadomo!) z wielkim temperamentem i głęboko osadzoną w naszej teraźniejszości.

W **Nowej Kulturze** (nr 10) warto odnotować artykuł Stanisława Grochowiaka „Nieszczęścia Gałczyńskiego". Po niedawnym szkicu Artura Sandauera w „Twórczości", który potraktował autora „Niobe" „bez taryfy ulgowej", jest to druga zapowiedź procesu „przeciw Gałczyńskiemu", choć Grochowiak interesująco broni tego, co w liryce Gałczyńskiego pozostało cenne, a czego brakło poetom awangardy: humoru.

TK

KRONIKA KULTURALNA 4 województw

(Dokończenie ze str. 11)

będzie tych pamiątek więcej i może będą ładniejsze?

PIĘKNE KINO PANORAMICZNE „Romantica" oddano wreszcie do użytku w Kielcach. Ma ono 700 miejsc, kawiarnię i czytelnię. Budynek jest podobny do kina „Kosmos" w Lublinie.

OGÓLNOMIEJSKI KLUB MŁODZIEŻY powstał w Kielcach przy Wojewódzkim Domu Kultury dzięki pomocy KM ZMS. Kieruje nim Sz. Szymański, organizator klubu „Yeti".

RZESZÓW

KOORDYNACJA życia kult. ośw. w PGR i spółdzielniach produkcyjnych była tematem narady kierowników placówek kulturalnych, jaka odbyła się w Rzeszowie 6 marca br.

RÓWNIEŻ O KOORDYNACJI poczynań kulturalnych na wsi mówili kierownicy wydziałów kultury prezydiów powiatowych rad narodowych 7 marca br. Problem ten ma wielkie znaczenie dla kultury na szczeblu gromadzkim.

INTERESUJĄCĄ WYSTAWĘ 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego otworzył w Rzeszowie prorektor krakowskiej Alma Mater prof. dr Wiktor Jakubowski.

„MOJE WSPOMNIENIA związane z laicyzacją życia społecznego w okresie międzywojennym" — oto temat konkursu „Nowin rzeszowskich" i ZW SAiW.

KONKURS PLASTYCZNY zamknięty dla członków rzeszowskiego ZPAP związany z walką klasy robotniczej i chłopstwa w latach 1918—1948 ogłosiły: KW PZPR i PWRN w Rzeszowie.

„DNI MUZYKI KAMERALNEJ" odbędą się w okresie od 1 do 6 czerwca w salach Muzeum w Łańcucie. Udział zgłosiły już zespoły kameralne z NRD i CRRS. Wystąpi również Filharmonia Narodowa z operą Pergolesiego „La serva padrone".

UKAZAŁA SIĘ OSTATNIO długo oczekiwana „Księga Biecka" wydana przez Wrocławskie Ossolineum i Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie. Redaktorem obszernej, liczącej około 1200 stron publikacji jest dr Roman Kaleta.

O SPRAWACH I TROSKACH rzeszowskiego środowiska plastycznego oraz o działalności Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy dyskutował zespół do spraw kultury KW PZPR.

LUBLIN

PIERWSZY „BIBLIOBUS" — ruchomy punkt wypożyczania książek Biblioteki im. H. Łopacińskiego wyruszył na ulice Lublina. Ruchoma biblioteka jest wyposażona w kilkaset tomów literatury pięknej oraz popularno-naukowej. Bibliobus obsługuje dzielnice peryferyjne.

W KLUBIE MPiK odbył się staraniem Wydawnictwa Lubelskiego wieczór lubelskiej poezji ludowej. Utwory Stanisława Buczyńskiego, Bronisława Pietraka i Jana Pocka recytowali aktorzy Teatru im. Osterwy — Liliana Szczechówna i Janusz Cywiński.

W SALI KINA „PRZYJAŹŃ" odbyła się tradycyjna, comiesięczna impreza dla wydziałów produkcyjnych FSC — „Przy sobocie po robocie". Na program złożyły się między innymi występy zespołu tańca „Kalina", orkiestry mandolinistów i projekcja filmu „Dziewięć dni jednego roku".

„JAZZ I POEZJA" — to tytuł nowego programu teatrzyku studenckiego „Gong 7,30". Program został przygotowany wspólnie z Akademickim Jazz-Klubem.

W DDK NA BRONOWICACH zorganizowano „Tydzień dobrych filmów". W repertuarze znalazły się m. in. takie pozycje jak: „Siódma pieczęć" i „Ballada o żołnierzu".

Unia

Jacek Jedliński — Zaułek

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 2,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa Zam. 791. 2.III.63. N-3